Nr. 11. Warszawa, dnia 18 (6) Marca 1893 r. Rok XIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2. k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: *Polityka*: Bez końca. — Zatarg kościelny w Węgrzech, p. S—l. — Tydzień polityczny. — *Odcinek*: Fryderyk Nietzsche, tłom. Malwina Posner-Garfein. — *Badania naukowe*: Stanowisko filozofii amerykańskiej (dokończenie), p. Władysława Kozłowskiego. — *Literatura i sztuka*: Literatura angielska, p. L. W. — Literatura ruska, II, p. Zenona Pietkiewicza. — Literatura polska, p. Bronisława Chrz...wskiego. — Notatki literackie. — *Życie społeczne*: Z Galicyi p. Prościckiego. — Liberum veto, p. Posła Prawdy. — *Sprawy ekonomiczne*: Zarys ustawy kas robotniczych, p. Z. A. P. — Przemysł, handel i finanse. — Kronika. — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenia.

Szan. abonentów kwartalnych prosimy o wczesne odnowienie przedpłaty.

POLITYKA.

BEZ KOŃCA.

Nieprzyjemnych uczuć a nawet głębokiego wstrętu doznajemy nieraz przy prowadzeniu kroniki wypadków współczesnych, a pióro niemal opiera się musowi zapisywania zdarzeń błahych, marnych lub tak hańbą opiętnowanych, że chciałoby się tylko minąć je ze wzgardą. Niewiele wszakże przesunęło się przed nami spraw tak obrzydliwych, jak panamska. Odraża ona wielu stronami, nietylko bowiem łapownictwem, sprzedajnością, oszustwem, moralnem i materyalnem, nadużywaniem zaufania ogółu, rozległością zepsucia, ale także sposobem, w jaki się toczy przed sądem rozmaitych instancyj i opinii publicznej. Naprzód wywlokło ją na wierzch nie oburzone sumienie, lecz zemsta i rachuba osobista. Następnie nie wydobyto odrazu całej, lecz po kawałku, tak, że dziś jeszcze po paru miesiącach nie widać jej końca. To cząstkowe wysuwanie prawdy stworzyło jeden z najohydniejszych widoków. Ten i ów oskarżyciel oświadczał wyraźnie, że on wszystkich winowajców nie wymienia i zamilczonych zostawia „na później.“ Co tydzień też, jeżeli nie codzień obraz się zmieniał, gdyż nagle pomiędzy członkami rządu, którzy przyrzekali uroczyście stać na straży dobra ogólnego, śledzić i nie oszczędzać przestępców, bywał wykrywany jakiś łapownik lub przynajmniej poradnik panamczyków. Kolejno powędrowali z krzeseł ministeryalnych lub parlamentarnych do sądu: Rouvier, Freycinet, Floquet, Clemenceau i inne tuzy. Już czasem zdawało się, że wreszcie wyłowiono wszystkich grzeszników, tymczasem nazajutrz wskazywano innych, którzy ukryli się między oburzonymi. Dotąd nie wiadomo, ilu ich pozostało niezdemaskowanych, a przytem chowający się po kryjówkach Europy Arton zaręcza przez swych znajomych, że posiada „listę 104 deputowanych,“ którzy brali łapówki z kasy panamskiej. Wobec nadużyć już wytropionych i prawdopodobnych można dostać zawrotu głowy i zwątpić, czy ten brudny potok wysączy się kiedykolwiek do ostatniej kropli.

W przeszłym tygodniu wlał się do niego nowy — i jak wszystkie poprzednie niespodziewany przypływ. W toczącym się obecnie, drugim procesie o przekupstwo między innymi świadkami wezwana została pani Cottu, żona jednego z oskarżonych. Zeznała ona, że niedawno przybył do niej z polecenia ministra sprawiedliwości urzędnik policyjny, który ją zawiózł tajemnie do swego zwierzchnika, a ten za uwolnienie męża żądał od niej, ażeby mu dostarczyła „jakiegokolwiek dokumentu, kompromitującego prawicę,“ gdyż skutkiem zbyt szczerych zeznań Karola Lessepsa sprawa panamska przybiera przerażające rozmiary, a rząd z tego powodu znajduje się w zbyt kłopotliwem położeniu. Natychmiast prokurator pociągnął obu tych urzędników, a minister sprawiedliwości wziął dymisyę, ażeby módz usprawiedliwić się przed sądem. Zaprzeczył on wszelkiego związku z całem tem zajściem, twierdząc stanowczo, że nic o niem nie wiedział. Być może, a nawet prawdopodobnie jest on całkiem niewinien tego matactwa, podjętego na własną rękę przez dwie figury rządowe niższego stopnia, ale dziś, kiedy ludzie uczciwi albo wszędzie widzą łotrów, albo ich się domyślają, nie znajduje on wiary, tem bardziej, że prasa, ten strasznie zdemoralizowany czynnik, bądź w widokach osobistych i stronniczych, bądź też dla mącenia wody, w której łowi ryby reporterskie, każde podejrzenie usiłuje wzmocnić, ażeby jaknajwięcej miała winowajców, a tem samem jaknajwięcej skandalicznego materyału. Naturalnym wynikiem jej robót w tym kierunku jest dziś powszechny brak zaufania już nietylko do rządu obecnego, ale wszelkiego, który będzie musiał dotknąć się owej nieszczęsnej, zarazę siejącej sprawy. Jeżeli zważymy, że od czasu, jak ona wypłynęła, nie było ani jednego gabinetu, któryby w niej nie utkwił jakąś swoją odnogą, czy można się dziwić społeczeństwu, że ono przyklaskuje, gdy jeden z posłów zawołał w Izbie: „rząd składa się z samych kłamców“? Baïhaut, Rouvier, Freycinet, Floquet, Clemenceau, nie licząc figur mniejszych — toć to ludzie, na których niedawno jeszcze przysięgano, których czystość charakteru była powszechnie wyznawanym dogmatem. I oni poplamili się błotem panamskiem? I teraźniejsze ministeryum nie zachowało wobec niego rąk niepokalanych? Doprawdy trudno wobec tego brać za złe oburzonym tą masą hańby, jeśli powiadają: a może i Carnot? W tak strasznej epidemii moralnej nikt nie wygląda zdrowo.

Przypuszczaliśmy, że po smutnem doświadczeniu poprzedników, obecny gabinet nietylko składać się będzie z ludzi, stojących po za wszelkiem podejrzeniem, ale nadto dość energicznych i bezwzględnych, którzy nie oszczędzą nikogo i nie cofną się przed żadną operacyą, potrzebną dla wycięcia wrzodu. Okazuje się jednak, że oni próbowali ów wrzód zagoić, nie wydobywszy z niego wszystkiej zepsutej krwi, że starali się „zmniejszyć przerażające rozmiary“ sprawy panamskiej. Gdy więc tej krwi organizm wessać nie chciał, rana rozszerzyła się, lekarze stracili zaufanie i przedłużyli chorobę. Czyż ona trwać będzie bez końca? Dotąd go nie widać, a nie prędzej on nastąpi, aż ujmą w ręce skalpel chirurgowie, którzy go zapuszczą tak głęboko, jak tego wymaga zdrowie i dobro narodu.

ZATARG KOŚCIELNY W WĘGRZECH.

Wiedeń, 14 marca.

Walka kościoła z państwem należy do tych, których wyniku w czasach obecnych na pewno przepowiedzieć nie można. To też z gorączkowem prawie zajęciem śledzimy tu przebieg wypadków, których widownią jest parlament węgierski. Od chwili, kiedy w łonie rządu zalitawskiego odezwały się po raz pierwszy głosy, domagające się stanowczo wyzwolenia władzy państwowej z pod opieki kościoła w dziedzinie formalności ślubnych i prowadzenia metryk urodzenia, odtąd zaszło już wiele wypadków, niejednokrotnie wybuchły starcia, w których walczono na ostre, nie oszczędzając się nawzajem. Dziś pobojowisko, pokryte już rannymi i trupami, siły zapaśników napięte są w najwyższym stopniu, a przecież nie ma mowy dotychczas o końcu walki. Przeciwnie, nie ulega wątpliwości, że znajdujemy się dopiero w samym jej początku i że wszystko, co się działo dotychczas i dzieje obecnie, jest tylko wstępem i przygrywką do tego, co nastąpi.

Wspomniano tu już swego czasu, że zatarg kościelny węgierski mieści w sobie cztery odrębne zatargi, z których każdy ma własną swą przyszłość i osobną pójdzie koleją. Obok pierwotnej waśni w łonie ówczesnego gabinetu łatwą była do przewidzenia inna między rządem a koroną, następnie zaś nader groźna między Izbą posłów a magnatami, a wreszcie możliwe i zupełnie co do skutków swych nieobliczone starcie między rządem a władzami kościelnemi, w razie gdyby kościół, porażony w parlamencie, chciał użyć broni duchownej.

Z czterech tych kwestyj jedna zaledwie została dotychczas załatwiona. Różność zdań i dążności w łonie ministeryum Szaparego wywołała przesilenie gabinetowe i doprowadziła do utworzenia rządu nowego, na czele którego stanął Weckerle.

Co się tyczy innych zatargów, to istnieją one dotychczas. O jednym z nich nie wspominają ani w parlamencie węgierskim, ani w prasie, aby nie odebrać otuchy walczącym. A jednak jest pewną prawie rzeczą, że Izba magnatów węgierskich zabierze kiedyś głos w sprawie kościelnej i to przeciw rządowi. Na razie milczy ona złowrogo i dumnie w poczuciu własnej siły. Liberalne stronnictwa spoglądają na nią z obawą, jak na groźną skałę, o którą rozbiją się w końcu fale, piętrzące się obecnie coraz wyżej. Czy przetrwa ona cios ten lub czy skruszy się wskutek niego? Nikt pytania tego dziś rozstrzygnąć nie potrafi. Jedynym środkiem wyjścia w razie stanowczego oporu magnatów mogłoby być zamianowanie znacznej liczby nowych parów liberalnych. Niełatwo jednak użyć tego środka w państwie tak arystokratycznem, jak Węgry. W każdym zaś razie koniecznem byłoby wtedy silne i energiczne współdziałanie korony.

A właśnie o to trudno — dziś nie mniej, niż przy początkach zatargu. Pozornie starcie między koroną a rządem liberalnym leży już w przeszłości. Rzeczywiście jednak istnieje ono dotychczas i jest jedną z głównych przyczyn wszystkiego, co widzieliśmy i widzimy obecnie w Węgrzech.

Objawia się ono przedewszystkiem w opieszałości, cechującej działalność rządową od pewnego czasu. Ludzie, znajdujący się u steru, są ci sami, którzy domagali się najrychlejszego przeprowadzenia reform: Weckerle, Csaky, Szilaygi. A jednak czyny ich nie zgadzają się zupełnie ze zdaniami, które wygłaszali niedawno a nawet z temi, które głoszą dziś jeszcze na trybunie parlamentu. Nie mogą oni zaprzeczyć, że wysunęli na razie przeprowadzenie reformy najważniejszej a bezwątpienia najpopularniejszej, tj. obowiązkowych ślubów cywilnych. Reforma ta, chociaż stanowi dziś główny punkt oparcia dla rządu wobec opinii publicznej, chociaż jest w tej chwili hasłem dla ogółu i wyłącznym niemal przedmiotem obrad w parlamencie, odłożona jest do czasu stosowniejszego, czyli *ad calendas graecas*. Ministrowie przyznają otwarcie, że przed dwoma laty nie przystąpią do załatwienia tej kwestyi, a w kołach dobrze poinformowanych słychać, iż okres ten jest dowolnie obrany i oznacza tylko, że na razie nikt nie czuje w sobie dość odwagi, aby tknąć się na seryo tej drażliwej sprawy.

Nagły ten zwrot byłby zagadkowym, gdyby nie był jasnym. Owa siła tajemnicza, która hamuje akcyę podjętą przez ludzi energicznych, mających władzę w ręku a opinię publiczną za sobą, znajduje się w kołach najwyższych, które w monarchii habsburskiej nie godzą się nigdy łatwo na zmniejszenie wpływów kościelnych. Opór ich nie może być jawnym i nie będzie nim nigdy wobec ludności węgierskiej i wobec gabinetu, którego prezesem jest osoba niezbędna dla przeprowadzenia reformy walutowej, ale nawet działając w ukryciu, opór ten jest dość silny, aby powstrzymać działalność rządu węgierskiego na czas pewien lub przynajmniej zwolnić jej tempo.

A zwłoka ta może pociągnąć za sobą szczególnie w sprawach tego rodzaju nader doniosłe skutki. Może ona osłabić stanowisko rządu węgierskiego wobec własnych jego stronników, rozluźnić organizacyę stronnictwa, pozbawić je miru, który zażywa w oczach ogółu. Może dalej dostarczyć czasu stronie przeciwnej dla agitacyi, a kościołowi dla użycia wszystkich swych wpływów. Może wreszcie ochłodzić zapał po stronie liberalnych reformatorów, gdyż na niezmienną politykę kościoła chyba nie wpłynie i może przygotować grunt dla przyszłych układów.

To też wszystkie te następstwa uwidoczniły się dotychczas.

Agitacya kościelna ogarnia coraz szersze koła. Najwybitniejszym jej objawem był zjazd katolicki w Oedenburgu, w którym wzięło udział kilka tysięcy osób. O ile zjazd ten był tylko demonstracyą, o tyle został już zrównoważony przez demonstracye charakteru przeciwnego, mianowicie przez adresy liberalne, wysłane z licznych miast, między innemi też z Budapesztu, do rządu i parlamentu.

Jednakże zjazd oedenburski miał też charakter organizacyjny. Powzięto na nim cały szereg uchwał, tyczących się głównie sprawy odłączenia kościoła od państwa oraz autonomii katolickiej. Mamy tu więc do czynienia z nowemi hasłami, zwróconemi przeciw rządowi a sformułowanemi tak zręcznie, że mogą ściągnąć zwolenników z obozu rządowego i stać się niebezpiecznemi dla jednolitości stronnictwa.

Jakoż w dalszym ciągu zjazdu oedenburskiego odbyła się w ostatnich dniach konferencya 38 posłów, należących do partyi rządowej, u hr. Mikołaja Esterhazego. Ulo-

---

FRYDERYK NIETZSCHE*)

O dziecku i małżeństwie.

Mam jedno pytanie do ciebie jedynego, bracie mój: niby ołowiankę rzucę to pytanie w duszę twoją, abym wiedział, jaka jest jej głębokość.

Jesteś młodym i życzysz sobie dziecka i małżeństwa. Ale ja pytam ciebie: czy jesteś człowiekiem, któremu *wolno* życzyć sobie dziecka?

Czy jesteś w zwycięztwa bogatym, samoposkromicielem, władcą zmysłów, panem cnót twoich? Tak pytam ciebie.

Czy też z życzenia twego mówi zwierzę, albo potrzeba? Albo osamotnienie? Albo niezgoda z sobą samym?

Chcę, aby zwycięztwo twoje i wolność twoja tęskniły za dzieckiem. Żywe pomniki budować masz zwycięztwu twemu i twemu wyzwoleniu.

Wznosić masz budowle ponad siebie. Ale najpierw sam bądź budowlą skończoną, prostokątną na ciele i duszy.

Nietylko masz się rozmnażać, ale i mnożyć w wartości. Do tego niechaj ci pomocą będzie ogród małżeństwa!

Stworzyć masz ciało wyższe, pierwszy odruch, koło, co się samo przez się toczy— tworzyciela masz stworzyć.

Małżeństwo: tak zwę wolę dwojga ku stworzeniu jednego, które jest czemś więcej od tych, co je stworzyli. Wzajemną dla siebie cześć zwę małżeństwo, cześć dla chcących taką wolę.

To niechaj będzie treścią i prawdą twego małżeństwa. Lecz to, co zwą małżeństwem ci, których jest o wiele za wiele, ci zbyteczni — jakże to nazwę?

Ach, to ubóstwo duszy we dwoje! Ach, to niechlujstwo duszy we dwoje! Ach, to nędzne zadowolenie we dwoje!

Zwą oni to wszystko małżeństwem i powiadają, jakoby małżeństwo ich było zawartem w niebie.

A więc, precz mi z tem niebem zbytecznych! Precz mi z temi zaplątanemi w niebiańskie sidła zwierzętami!

Nie śmiejcie mi się z tych małżeństw! Któreż dziecko nie miałoby powodu płakać nad swoimi rodzicami?

Godnym wydawał mi się ten mężczyzna i dojrzałym dla myśli ziemi: ale kiedym ujrzał jego żonę, ziemia wydała mi się domem dla bezmyślnych.

Tak, chciałbym, ażeby ziemia drgała w kurczach, kiedy święty łączy się z gęsią.

Inny poszedł szukać prawd, jak bohater łupu, wreszcie zdobył sobie małe, strojne kłamstwo. Zwie to małżeństwem swojem.

Inny jeszcze był nieśmiałym w obcowaniu i wybierał długo. A tu odrazu zepsuł sobie towarzystwo na zawsze: zwie to małżeństwem swojem.

Jeszcze inny szukał sługi o cnotach anioła. A tu odrazu stał się sługą kobiety, trzebaby zaś jeszcze, iżby się nadto stał aniołem.

Widziałem, że kupcy bywają teraz ostrożni i że wszyscy mają oczy przebiegłe. Ale żonę, każdy, najprzebieglejszy nawet, kupuje w worku.

Dużo krótkich niedorzeczności — to zwie się u was miłością. A małżeństwo wasze kładzie kres wszystkim krótkim niedorzecznościom, jako jedno długie głupstwo.

Miłość wasza dla kobiety i miłość kobiety dla mężczyzny: ach, gdybyż ona była litościwą dla cierpiących, osłoniętych bogów! Ale najczęściej dwoje zwierząt odgaduje się wzajemnie.

Ale nawet najlepsza wasza miłość jest tylko drgającą w zachwycie parabolą i żarem bolesnym. A ona pochodnią jest, która przyświecać wam winna w wędrówce ku wyższym drogom.

Kiedyś kochać będziecie ponad siebie! Więc wpierw *uczcie się* kochać! I dlatego musieliście wychylić gorzki kielich waszej miłości.

*) Ażeby czytelnik miał dokładniejsze pojęcie o genialnie-ciemnej filozofii Nietzschego, który tylu posiada obecnie wyznawców i czcicieli, dajemy w przekładzie kilka ustępów z jego głównego dzieła. *Red.*

żono tu tekst wniosku, przedstawionego następnie na ogólnem posiedzeniu stronnictwa przez posła Ernesta Hammerera, a domagającego się, aby rząd przedstawił monarsze projekt zwołania najpóźniej w przeciągu roku zgromadzenia organizacyjnego w celu utworzenia ogólnej katolickiej autonomii krajowej. Wniosek ten przyjęty został wprawdzie z kilku poprawkami przez stronnictwo liberalne, ale dyskusya, przeprowadzona przy tej sposobności, wykazała istniejące w łonie partyi zasadnicze przeciwieństwa, mogące doprowadzić w najbliższym czasie do rozdziału stronnictwa.

Lecz kościół używa pozostawionego mu czasu nietylko dla agitacyi wśród ludności miast pojedynczych i dla przeprowadzania zręcznej taktyki parlamentarnej. Działa on też w większym stylu, zwracając się z odezwami swemi do ogółu ludności węgierskiej.

Takie właśnie znaczenie ma memoryał, wystosowany do rządu przez konferencyę biskupów, która odbyła się niedawno w Budapeszcie. Obok niego ułożyli biskupi adres do korony i sprawozdanie do papieża. Adres i memoryał rozpatrują z rzędu wszystkie poszczególne kwestye, wchodzące w skład sprawy kościelnej, mianowicie prawa żydów, równouprawnienie wyznań, zaprowadzenie metryk cywilnych i obowiązkowych ślubów cywilnych. Co do dwu pierwszych kwestyj, głównym argumentem, którym posługują się tu biskupi, jest to, że reformy ustawowe na tem polu byłyby zbyteczne, gdyż stan rzeczywisty odpowiada najdalej sięgającym wymaganiom tolerancyi wyznaniowej. Zaprowadzeniu metryk cywilnych sprzeciwiają się autorowie memoryału z tej przyczyny, że obciążyłoby ono niepotrzebnie budżet państwowy (!). Jedynie co do obowiązkowych ślubów cywilnych powołują się biskupi węgierscy na dogmaty kościelne, sprzeciwiające się rzekomo tej reformie. Mimo tej, jak widzimy, dość słabej argumentacyi, nie ulega wątpliwości, że oświadczenie to, podpisane przez trzech arcybiskupów i wszystkich bez wyjątku biskupów węgierskich rzymsko- i grecko-katolickich, wywrze głębokie wrażenie na pewnych warstwach ludności translitawskiej.

Przypatrzmy się obecnie sytuacyi rządu. Ratuje ją dotychczas istotnie podziwienia godna solidarność grup parlamentarnych w sprawach zasadniczych. Zawiść osobista i różność zdań w kwestyach praktycznych znikają wśród ogólnego zapału. Ze zjawiskiem takiem nie spotykamy się chyba w żadnym innym parlamencie europejskim. To też po chwilowem zaledwie wahaniu się, spowodowanem osobistą ambicyą przywódcy opozycyi, hr. Apponyego, zarówno stronnictwo stojące pod jego kierownictwem, t. zw. narodowcy, jak też inne grupy odrębne, mianowicie odłam niezależnych i stronnictwo roku 48-go przystąpiły do obozu rządowego.

Byłby to tryumf zupełny, gdyby nie dwie fatalne dla rządu okoliczności.

Główną z nich jest nieufność, rodząca się zwolna wobec jego bezczynności i działająca coraz silniej jako czynnik rozkładowy. Wprawdzie minister Csaky oświadczył w ciągu toczącej się właśnie dyskusyi budżetowej, że wniesie w najbliższym czasie przedstawienia dotyczące żydów i zaprowadzenia metryk cywilnych, ale oświadczenie to przyjęto z widoczną niewiarą. Obok tego jednak istnieje inny jeszcze niebezpieczny dla składu stronnictwa rządowego żywioł: mianowicie nienawiść osobista wielu jego członków i innych grup liberalnych do Kolomana Tiszy. Doprowadziła ona właśnie teraz do zajść głośnych i scen burzliwych, mogących łatwo pociągnąć za sobą nader smutne dla liberalizmu węgierskiego następstwa.

S—l.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Znaczną większością głosów komisya parlamentu niemieckiego odrzuciła rządowy projekt pomnożenia armii. Zdarza się czasem, że sejm pełny nie z tych lub innych względów zmienia uchwały swojej komisyi, tym razem jednak podzielił jej poglądy. Tym sposobem stosunek rządu do przedstawicieli narodu spoczął na ostrzu noża, gdyż hr. Caprivi zbyt stanowczo zapewnił, że nie ustąpi ani na włos. Gazety twierdzą, że z tego położenia są tylko dwie drogi wyjścia: albo dymisya obecnego kanclerza, albo rozwiązanie parlamentu. Jest to czcza gadanina. Chociażby bowiem Caprivi złożył swój urząd, nie złoży swojego Wilhelm II, który jest właściwym twórcą projektu i który również oświadczył, że się go nie wyrzecze. Nie należy stosunków niemieckich oceniać miarą angielską lub francuską, wogóle miarą państw rządzonych parlamentarnie, w których monarcha lub prezydent jest osobą neutralną i bierną, a odpowiedzialnymi organami rządu ministrowie. W Niemczech każdy projekt ustawodawczy jest wyrazem woli cesarza, której nie usuwa wcale powierzenie odpowiedniej teki komu innemu, a minister opuszcza swe stanowisko tylko skutkiem niezgody ze swym rozkazodawcą, nie zaś z sejmem. Jasno i szczegółowo wytłomaczył tę zasadę Bismark, który nieraz ścierając się z tym ostatnim, przypominał mu, że to nic a nic nie wpływa na trwałość jego pozycyi, gdyż na niej pozostanie dopóty, dopóki „zechce jego pan.“ Caprivi może czuć się zmęczonym i pragnąć spoczynku, może się usunąć dla konsekwencyi i dla zapewnienia Wilhelmowi II odwrotu z walki, w której odniósł porażkę, ale samo odrzucenie przez sejm projektu nie pociąga za sobą dymisyi kanclerza.

Co innego rozwiązanie parlamentu. Ten środek jest możliwy i prawdopodobny, jeżeli rząd doszedł do przekonania, że nowe wybory, dokonane pod hasłem pomnożenia armii, dadzą mu większość pożądaną. Czy dałyby? Trudno powiedzieć. Bismark, nierobiący sobie żadnych skrupułów w używaniu sprężyn nacisku administracyjnego, byłby zapewne cel osiągnął, ale Caprivi ze swoją miększą ręką i wrażliwszem sumieniem wystąpiłby pod gorszą wróżbą. Główną przeszkodą do wytworzenia w narodzie zapału na korzyść powiększenia armii jest to, że prawie wszystkie stronnictwa po zbadaniu projektu w komisyi oświadczyły, iż rząd nie dostarczył dowodów potrzeby nowych ofiar podatkowych dla reformy wojskowej. Można temu wierzyć. Pomimo bowiem zaprzeczeń Capriviego, nie ulega wątpliwości, że Niemcy posiadają dostateczną siłę obronną i że chcą zapewnić sobie przewagę zbrojną. Temu zbytkowi właśnie opierają się przedstawiciele narodu.

Wybory do skupczyny serbskiej dały większość obecnemu rządowi, to znaczy, że prawie wszechwładni dotąd radykałowie zostali zwyciężeni. Ten nagły prze-

---

Gorycz mieści się nawet w kielichu najlepszej miłości: tak sprawia tęsknotę za nad-człowiekiem, sprawia pragnienie tobie, tworzącemu.

By pragnieniem być tworzącego, strzałą i tęsknotą za nad-człowiekiem: powiedz, bracie mój, czy taka jest wola twoja do małżeństwa?

Świętą jest mi taka wola i świętem takie małżeństwo.

Tak rzekł Zarathustra.

O kapłanach śmierci.

Istnieją kapłani śmierci: a ziemia pełna jest takich, którym należy wpajać odwrót z drogi życia.

Pełna jest ziemia zbytecznych, popsute jest życie przez tych, których jest o wiele za wiele. Niech więc „życie wieczne“ wywabi ich z tego życia.

„Żółci“: taka jest nazwa kapłanów śmierci, albo „Czarni.“ Lecz ja ukażę wam ich w innych jeszcze barwach.

Są tam owi straszni, którzy noszą w sobie drapieżnego zwierza, a nie mają wyboru, chyba że wybiorą żądzę albo samorozszarpanie się. A nawet ich żądze są także samoszarpaniem.

Ci straszni nie są nawet jeszcze ludźmi: niech więc głoszą odwrót z drogi życia i sami niechaj z niej zejdą!

Są tam suchotnicy duszy: zaledwie się urodzili, a już tęsknią za nauką znużenia i wyrzeczenia się.

Chcą nie żyć, my zaś winniśmy pochwalić ich wolę! Strzeżmy się, aby zmarłych tych nie zbudzić i nie naruszyć tych żywych trumien!

Spotka ich chory, albo starzec, albo trup, a wnet rzekną: „życie jest zwalczone.“

Ale tylko oni są zwalczeni i źrenica ich, która jedno tylko widzi oblicze w istnieniu.

Otuleni w grube płachty melancholii i ciekawi małych przypadków, śmierć przynoszących: oto jak czekają, zęby zaciskając.

Albo też: pochwycą ciasteczko i drwią z własnego dzieciństwa; na źdźble słomy zawieszą swoje życie i drwią potem, że jeszcze na źdźble wiszą.

Mądrość ich brzmi: „głupi, kto trwa przy życiu, a więc my takimi jesteśmy głupcami! To zaś jest właśnie najgłupszem w życiu!“

„Życie jest tylko cierpieniem“ — mówią inni i nie kłamią: więc starajcież się, abyście *wy* nie byli! Więc starajcież się, aby nie było tego życia, które jest tylko cierpieniem!

A tak niechaj brzmi nauka waszej cnoty: „będziesz się sam zabijał! Będziesz się sam wykradał!“

„Rozkosz jest grzechem“ — tak mówią jedni z kapłanów śmierci: usuńmy się i nie płodźmy dzieci!

„Rodzenie jest męczące“ — mówią inni — pocóż jeszcze rodzić? Rodzi się tylko nieszczęśliwych. A i to są kapłani śmierci.

„Litość jest potrzebna — tak mówią trzeci. Weźcie wszystko, co posiadam! Weźcie wszystko, czem jestem. Tem mniej nici wiązać mnie będzie z życiem!“

Gdyby litość prawdziwie mieszkała w ich sercu, goryczą zaprawiliby bliźnim swoim życie. Złość — oto byłaby prawdziwa ich dobroć.

Ale oni uwolnić się chcą od życia: cóż ich obchodzi, że łańcuchami i darami swoimi innych mocniej jeszcze z życiem wiążą!

A i wy, których życie jest dziką pracą i niepokojem: azali i wy życiem nie jesteście znużeni? Azali i wy nie jesteście dojrzałym owocem dla ręki kapłanów śmierci?

Wy wszyscy, którym miłą jest dzika praca i to, co jest prędkie, nowe, nieznane — wy wszyscy źle siebie samych dźwigacie, pilność wasza jest ucieczką i chęcią zapomnienia o sobie.

Gdybyście więcej wierzyli w życie, oddawalibyście się mniej chwili. Lecz, aby czekać, za mało macie w sobie treści — za mało macie nawet troski, aby próżnować!

Wszędzie rozbrzmiewa wołanie tych, którzy śmierć głoszą: a ziemia pełna jest takich, którym wpajać należy odwrót z drogi życia.

Albo „wieczne życie“: to dla mnie jedno — byleby rychlej z drogi zeszli.

Tak rzekł Zarathustra.

wrót nie jest dotychczas w swych przyczynach dość wyjaśnionym. Ażeby stronnictwo, które ogarniało cały kraj, spadło naraz do mniejszości, a drugie, które ledwie istniało, odniosło tryumf, jest to wypadek niebywały.

Gladstone zachorował, obrady przeto nad bilem irlandzkim odłożono na czas późniejszy. W osiemdziesiątym roku życia choroba jest naturalną, ale również częstą bywa w kłopotach politycznych, a tych bil irlandzki sprawia niemało.

BADANIA NAUKOWE.

STANOWISKO FILOZOFII AMERYKAŃSKIEJ

(William James).

(Dokończenie).

Świadomość nie jest prostym epifenomenem, biernym dodatkiem do czynności mózgowych. Dzięki uwadze staje się ona pierwiastkiem czynnym, gdyż tylko przy jej pomocy urabia się pamięć i kojarzy się wyobraźnia. Pamięć zaś i kojarzenie stanowią podstawę całego życia umysłowego.

Ponieważ stany świadomości są jej oddziaływaniem na pewne zmiany, zachodzące w mózgu pod wpływem czynników zewnętrznych, ponieważ to oddziaływanie stanowi jednolity akt świadomości; błędne przeto jest zapatrywanie psychologii angielskiej na owe stany, jako na całostki złożone, powstające z jakichś bezwiednych pierwiastków, które automatycznie kojarzą się z sobą. Złożonymi są fizyologiczne ich warunki, nie zaś same stany. Czucia zmysłowe, jako odmienne oddziaływanie świadomości na różnorodne bodźce zewnętrzne są zjawiskami prostemi, pomimo że ich bodźce bywają zwykle złożone. Charakter ich jest przeto intuicyjny. W każdym razie czuć zmysłowych oderwanych obserwacya wewnętrzna nie zna. Pierwszym faktem, bezpośrednio jej znanym, jest postrzeżenie. Nie powstaje ono drogą syntezy, przez kojarzenie się oddzielnych czuć zmysłowych w jedną całość, lecz jest właściwym aktem intuicyi. Jeżeli wyróżniamy w niem oddzielne czucia zmysłowe, to tylko dzięki analizie, jaką samo doświadczenie w nich przeprowadza, dając nam poznać różnorodną ich kombinacyę, w której czucia zmysłowe występują, jakby samodzielne czynniki. Do takich aktów intuicyi należy także postrzeżenie przestrzeni, chociaż z drugiej strony nie da się zaprzeczyć, że do ostatecznego jego wyrobienia dopomaga nam wiele doświadczenie zmysłów wzrokowego, dotykowego i artykulacyjnego. James odrzuca tak zwany zmysł mięśniowy utrzymując, że czucia, służące nam za miarę ruchów, mają swe źródło w stawach i w skórze.

Pamięć i kojarzenie wyobrażeń sprowadzają się ostatecznie do nałogu fizyologicznego, zaszczepionego przez doświadczenie w organizm nerwowy. Każde postrzeżenie utrwala w mózgu usposobienie do czynności, która mu odpowiada. Wznowienie jej staje się warunkiem przypomnienia, które jest uświadomieniem owej czynności. Ponieważ cząsteczkowa budowa mózgu i cały jego ustrój wewnętrzny ciągle się zmienia pod wpływem doświadczenia; stąd też ani jego czynności, ani odpowiadające im wyobrażenia nie są te same, lecz za każdym razem nowe i różniące się od siebie. Jeżeli zaś uważamy swe wyobrażenia za te same i niezmienne, to dla tego, że je zwykle odnosimy do rzeczy, których one są znakami. Ośrodki nerwowe czynności, stanowiących fizyologiczne warunki wyobrażeń, wchodzą z sobą anatomicznie w różnorodne połączenia, utrwalone doświadczeniem. Połączenia te stanowią podstawę kojarzenia. Jednakże w umyśle naszym nie dokonywa się ono między wyobraźniami, ale między rzeczami, przez wyobrażenia oznaczonemi. To, które leży na dnie wszelkich czynności umysłowych, bywa automatyczne i dowolne. Najwyższym objawem kojarzenia dowolnego jest rozumowanie, w którem drogą pośrednią kojarzy umysł rzeczy, same przez się nieposiadające nic wspólnego między sobą.

Wszelkie czynności umysłowe mają charakter ideologiczny, to znaczy, że bywają zwykle zamiarowo skierowane ku pewnym celom, jakich dostarcza umysłowi życie praktyczne lub zagadnienia teoretyczne. W podstawie ich leżą prawdy konieczne, które mają swe źródło nie w doświadczeniu, ale w intuicyi. Nie są one jednakże tem, czem je mieć chciał Kant. Pochodzenie ich nie jest nadprzyrodzone; ale z drugiej strony nie są one także skutkiem przystosowania organizmu do warunków zewnętrznych, jak to utrzymuje Spencer, który w nich widzi owoc doświadczenia rasy, przez dziedziczność utrwalony. Niezawodnie, owe prawdy konieczne, stanowiące wewnętrzną budowę ludzkiego umysłu, musiały rozwijać się równomiernie z rozwojem cielesnego organizmu, głównym jednakże czynnikiem tego procesu nie mogło być przystosowanie, ale tylko dobór naturalny. Powstawszy w pewnej grupie żyjących istot dzięki nieznanym nam okolicznościom, czyli, co na jedno wychodzi, przypadkowi, dały one jej przewagę w walce o byt i w ten sposób zapewniły panowanie rodzajowi ludzkiemu.

Powszechnem jest mniemanie, że natura ludzka nie posiada instynktów. James przeciwnie utrzymuje, że posiada ona ich więcej, niż wszystkie inne istoty żyjące. Są nimi: wrodzone skłonności i poglądy, które stanowią właściwą budowę organizmu ludzkiego. Objawiają się one pod wpływem wrażeń zewnętrznych i postrzeżeń — a wtedy stają się nawyknieniami, nałogami i namiętnościami. Przy wielkiej rozmaitości tych instynktów są między nimi wręcz sobie przeciwne; stąd jedne z nich, stawszy się nałogami, hamują i tłumią inne. Istnieją nareszcie instynkty przejściowe, właściwe tylko pewnym okresom życia, które mogą zaniknąć z czasem. Wszystkie one przytem nie są stałe i niezmienne. Pod wpływem życia przeobrażają się dzięki doświadczeniu, które uczy godzić swe postępowanie z warunkami położenia. Instynkty są jedynem źródłem uczuć i wzruszeń.

Istotą takich wzruszeń, jak gniew, strach itp. stanowią ruchy cielesne i towarzyszące im uczucia. Powstają one pod wpływem postrzeżenia lub przypomnienia. Brak ruchów zewnętrznych zastępują wewnętrzne — trzewiów. Jakoż przy największej obojętności można wywołać w sobie gwałtowne wzruszenie, wykonywając ruchy, temu wzruszeniu odpowiadające, jak to się dzieje np. z aktorami. Uczucia moralne i estetyczne, którym nie towarzyszą żadne ruchy, są zazwyczaj spokojne i chłodne,

O trzech przemianach.

Trzy nazwę wam przemiany ducha: jako duch stał się wielbłądem, a lwem wielbłąd, lew zaś — dzieckiem w końcu.

Dużo ciężaru istnieje dla ducha, dla silnego noścy-ducha, który czci jest pełen: tego, co jest ciężkie i najcięższe, pożąda jego siła.

Co jest ciężkie? — tak pyta duch-nośca i klęka, niby wielbłąd i dużo chce na się wziąć ładunku.

Co jest najcięższe, mówcie bohaterzy? — tak pyta duch-nośca — iżbym je wziął na siebie i cieszył się siłą moją.

Ażali nie to jest najcięższe: poniżyć się, aby ból zadać pysze swojej? Na jaw wystawić głupotę swoją, aby urągać swojej mądrości?

Ażali to: rozstać się ze sprawą wtedy, kiedy tryumf święci? Wspiąć się na góry wysokie, aby kusić kusiciela?

Ażali to: karmić się żołędziami i trawą poznania i gwoli prawdy cierpieć głód duszy?

Ażali to: być chorym a usunąć pocieszycieli i przyjaźń zawrzeć z głuchym, który nigdy nie słyszy, czego pragniesz?

Ażali to: wejść w brudną wodę, jeżeli to woda prawdy i nie odpędzić od siebie żab zimnych i gorących ropuch?

Ażali to: kochać tych, którzy nami gardzą i podać dłoń upiorowi, gdy chce w nas przestrach wzbudzić?

Wszystko to najcięższe duch-nośca bierze na się: i niby wielbłąd, który z ładunkiem spieszy w pustynię, duch-nośca spieszy w pustynię swoją.

Ale w najsamotniejszej pustyni staje się druga przemiana: duch na lwa się zmienia, wolność chce sobie zdobyć i panem być we własnej pustyni.

Ostatniego pana swego tu sobie szuka: stać mu się wrogiem pragnie, zwycięzko walczyć chce z wielkim smokiem.

Cóż jest owym wielkim smokiem, którego duch dłużej już nie chce zwać panem? „Będziesz“ *) jest imię wszelkiego smoka. Atoli duch lwa mówi: „chcę.“

„Będziesz“ staje mu na drodze, złotem się mieni niby zwierz łuskowaty, a na każdej łusce błyszczy złociste: „Będziesz.“

Tysiącoletnie wartości błyszczą na tych łuskach i tak mówi ze smoków najpotężniejszy: „wszechwartością rzeczy — błyszczę ja.“

„Stworzone już są wszystkie wartości — zaś wszystkie stworzone wartości — to ja. Zaprawdę, nie będzie już żadnego „chcę.“ tak mówi smok.

Bracia moi, po cóż potrzebny jest lew duchowi? Czyż nie wystarcza zwierz, co nosi ciężary, i uciech się zrzeka, i czci jest pełen?

Tworzyć nowe wartości — i lew nie jest zdolen: lecz swobodę zdobyć dla naszego tworzenia — oto co zdziała może potęga lwa.

Aby swobodę zdobyć i święte „Nie“ nawet wobec obowiązku: oto, bracia moi, po co potrzebny jest lew.

Wywalczyć prawo dla nowych wartości — to walka najstraszniejsza dla ducha-noścy i czci pełnego. Zaprawdę, ratunkiem mu się rzecz ta wydaje i rzeczą zwierza-rabusia.

Jako świętość najwyższą kochał on niegdyś owo „Będziesz“; a nagle w najwięk-szej świętości odkryć musi błąd i samowolę, aby od onego kochania zagrabić swobodę: lwa potrzeba do takiej grabieży.

Ale powiedzcie, bracia, cóż może dziecię, czego nie mógł nawet lew? Pocóż lew-zagrabiciel dzieckiem jeszcze stać się musi?

Niewinnością jest dziecię i zapomnieniem, zaczynaniem na nowo, grą, kołem, co się samo przez się toczy, jest pierwszym odruchem, świętem jest „Tak.“

Gra tworzenia, bracia moi, wymaga świętego „tak“; wtedy duch chce własną wolą, własny świat zyskuje, kto świata nie miał.

Trzy nazwałem wam przemiany ducha: jako duch stał się wielbłądem, a lwem — wielbłąd, ten zaś dzieckiem w końcu...

Tak rzekł Zarathustra. A bawił podonczas w mieście, które zwie się: pstra krowa.

Tłom. *Malwina Posner-Garfein.*

*) W znaczeniu, użytem w dekalogu.

przeważa w nich pierwiastek umysłowy, chociaż i im mogą towarzyszyć jakieś nieznane nam ruchy mózgowe.

Uczucie przyjemności i przykrości są głównemi pobudkami woli, ale nie jedynemi. Każde wyobrażenie, każda myśl, odznaczająca się pewnem natężeniem, pobudza do ruchu, do działania. Materyałem woli są odruchy. Wola sama przez się nie może wykonać żadnego ruchu, któryby uprzednio nie był wykonany. Aktom woli musi przewodzić pojęcie ruchu, jaki ona ma spełnić. Ruchy dowolne są odruchami złożonymi. Dwie pobudki, działając jednocześnie, wzajemnie paraliżują się — i następuje wahanie się, aż w końcu silniejsza bierze stanowczą przewagę i wywołuje odpowiednie ruchy. Wola, jako samodzielny czynnik, zdaje się objawiać wyraźnie w wypadkach, w których przedsięwziętemu postanowieniu towarzyszy wysilenie. Następuje to wtedy, gdy pojęciom konkretnym przeciwstawiamy abstrakcyjne i nadajemy im przewagę. Dzieje się to w ten sposób, że całą swą uwagę skupiamy na pojęciu abstrakcyjnem. Wola tu zatem działa, nie jak zwykle w kierunku oporu najlżejszego, ale przeciwnie, w kierunku największego. Dla pokonania tego oporu potrzebny jest pewien wysiłek, który też towarzyszy naszemu postanowieniu. Zachodzi więc pytanie, jaka jest przyczyna tego wysiłku, a mianowicie, czy uwaga własną mocą podnosi natężenie pojęcia i nadaje mu przewagę, czy przeciwnie, samo pojęcie posiada taką siłę i trwałość, że przykuwa do siebie uwagę i rodzi w niej uczucie wysilenia? James przechyla się do pierwszego przypuszczenia, chociaż uprzedza, że pytanie to nie należy do psychologii, która, będąc nauką przyrodniczą, musi być z zasady deterministyczną.

W końcowym rozdziale swego podręcznika zastanawia się nad współczesnemi teoryami metafizycznemi, usiłującemi wyjaśnić stosunek świadomości do organizmu cielesnego. Otóż ze wszystkich tych teoryj najprawdopodobniejszą wydaje mu się spirytualistyczna, pomimo, że napotyka ona na szkopuł, którego wyminąć nie może. Jest nim zdwojenie świadomości. W każdym razie spirytualizm jego różni się tem od tradycyjnego, że nie przyjmuje bytu substancyalnego.

Oceniając nareszcie stanowisko dzisiejszej psychologii wogóle, powiada, że zbyt jeszcze daleką jest ona od tego stopnia rozwoju, do jakiego doszły inne nauki i dla tego nie można jeszcze dziś wymagać od niej rozwiązania wielu zagadnień. Znajduje się ona w tym stanie, w jakiem była chemia przed Lavoisieur'em. Nie wykryto dotąd powszechnego prawa, pod które dałyby się podciągnąć wszystkie zjawiska życia duchowego. Za takie prawo nie można uważać kojarzenia, które dla psychologii angielskiej ma takie znaczenie, jak siła powszechnego ciążenia w świecie materyalnym.

Władysław Kozłowski (Lwów).

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA ANGIELSKA.

Karol Algernon Swlneburne: Atalanta In Calydon. — Chastelard, Bothwel, M. Stuart. — Songs and Ballads, 2 t.

Po śmierci Tennysona pierwsze miejsce na Parnasie angielskim należy się, bez zaprzeczenia, Swineburnowi: zajmie on prawdopodobnie i urzędowe stanowisko laureata, o ile temu nie sprzeciwią się przekonania poety, który jest republikaninem.

Tennyson i Swineburne — to dwa przeciwległe bieguny świata poezyi: bukolika i tragedya, filisterska cnota i genialnie obnażony poganizm, romantyk hołdujący „bojaźni boskiej i dobrym obyczajom" i nieokiełznany duch przeczenia, który hamuje dziko poloty swej energii tylko wobec starożytnej Hellady. W ucieczce od obecnej powszedniości mieszczańskiej poezya chętnie powraca do złotego snu pogaństwa, ale rzadko kto jest w stanie odbudować na tym gruncie istotnie oryginalny świat marzeń. Próbował z żyjących Leconte de l'Isle, lecz jego „Poematy barbarzyńskie" i „Tragiczne" nigdy prawie po za obręb naśladownictwa nie wykraczają. Próbował Ibsen i trzeba przyznać, iż obrał moment nadzwyczaj ciekawy, Byzancyum, gdzie zetknęły się światy rzymski, grecki i wschodni z mistycyzmem chrześciańskim; historya splotła tu węzeł nadzwyczaj rzadki; co za dziwna roślinność psychologiczna musiała się wytwarzać w tej wspaniałej retorcie społecznej! Trudno o fantastyczniejszy świat dla poety, który ucieka od rzeczywistości i ma potężne skrzydła: greckie piękno, rozkładające się w fosforycznych błyskach wschodniego zepsucia i dziwacznych majaczeniach żydowskiej mistyki! Niestety, po scenie Ibsena przechadzają się najzwyklejsi i nadzwyczaj gadatliwi małomieszczanie norwegscy — prawda, że w Antyochii lub Aleksandryi. Wolimy ucieczkę w starożytność Swineburne'a. Gdyby poeta nam był dał tylko swą „Atalanta in Calydon," moglibyśmy już być zadowoleni. Właściwie utwór ten, jak i inne, kreśli nie obraz świata pogańskiego, lecz — duszy autora, jego wizyę osobistą bytu i życia; ale czyż inaczej być może? Iliada i Odyssea czynią na nas obecnie wrażenie jakichś wspaniałych szkieletów mamuta w muzeum archeologicznem. Twory te wymagały dla swego powstania zupełnie odrębnej atmosfery i temperatury społeczno - psychologicznej. Epopea była możliwa w społeczeństwie bezklasowem, gminnem — odtworzyć ją obecnie, znaczyłoby odtworzyć jakiś dawno zanikły gatunek zwierzęcy. Toż samo powiedzieć można i o tragedyach greckich. Nieudolność ogranicza się więc z konieczności na naśladownictwie, talent zaś i geniusz tworzą w odległej przebrzmiałej epoce jakiś świat zupełnie nowy, fantastyczny, który charakteryzuje nie istotną Grecyę lub Byzancyum, lecz zawsze tylko duszę autora. Dzieło jest dla krytyki analitycznej najlepszym kluczem do niej. Dusza Swineburne'a jest pełna gniewu i rokoszu; jest to ponury płomień, który ogarnia wszechświat, gryzie wszelkie okowy i wylewa się w złorzeczeniach tytana przeciw losowi i bogom. U niego nawet chór, zwykle pokorny u tragików greckich, w następujący sposób odzywa się do Jowisza: „Patrz, pomimo rozdartych piersi i drżących kolan, znikomemi wargami i tchnieniem znikomem świadczymy przynajmniej przed śmiercią, iż każdy człowiek sarka w głębi serca i powiada: wszyscy, tak wszyscy! jesteśmy twymi wrogami, o Boże wszechmocny!" Jest to pierwsza różnica z greckiem pogaństwem, które nawet Prometeusza godziło ostatecznie z potęgą panującą. Nad tragedyą Swineburne'a także unosi się fatalizm, lecz nie ten, co panował w teatrze starożytnym. Tragicy nadawali mu zwykle charakter moralny i religijny porządku społecznego, któremu jednostka musi się ślepo poddać. Swineburne w dzikim zapędzie ku wolności wyzwala jednostkę z pod tego fatalizmu i robi z niej wspaniałe zwierzę, które ulega już tylko konieczności przyrody i instynktów. Fatalizm religijny zamienił się na fatalizm bezbożny. Swineburne jest więc poganinem zupełnie nowożytnym, myślą, uczuciem; wylewają się one jednak w obrazy piękna tragedyi greckiej. Treść „Atalanty" wzięta jest z Owidyusza: mamy tu wypadek odwrotny historyi Orestesa. To matka, rozgniewana na syna, który zabił jej braci, pozbawia go życia. Ale jakże ręka Orestesa drży przed wykonaniem morderczych wyroków — pcha go nie własna wola, lecz ciężar przeznaczeń, fatalizm moralny, żądający, aby przestępstwo nie pozostało bez kary. U Swineburne'a Altea bynajmniej nie błaga litości u rozgniewanych cieni — gdyby poeta odtworzył tylko tę walkę wewnętrzną, sztuka jego miałaby tylko interes archeologiczny. Jego bohaterka, zabijając syna, odsłania sposób odczuwania, który nic ma nic wspólnego ze sceną ateńską. Alteą kieruje tylko krwawa chęć zemsty, lecz najmniejszego buntu ze strony sumienia. Przemawiają w niej jeszcze blado-zielonawe gniewy obrażonej dumy, a po części i pijaństwo krwi. Wydaje ona ryki lwicy, pożerającej własne szczenięta. Takie są najulubieńsze typy Swineburne'a. Poeta staje w świętym zachwycie przed grozą okropności i odsłania nam taki sposób czucia, który jest naszej epoce zupełnie obcy. Swineburne zachował duszę swych przodków, Wikingów, bretońskich królów morza, którzy zamieszkiwali tajemnicze wyspy i w wyprawach swych nieśli mord i pożogę. „Wpadniem, podpalim, wytniem i zabierzem!" — oto ich hasło. „Zabierzem niewolników i kobiety, które są rozkoszne, wspaniałe zwierzęta, raj naszych zmysłów, ale zarazem zwierzęta niebezpieczne, pantery rozdzierające zdradzieckim pazurem i wysysające życie krwawą paszczą ze swego wroga, mężczyzny. Wszystkie kobiety Swineburne'a, to krwiożercze upiory. Jest nim Marya Stuart w tragedyi (Chastelard, Bothwell, M. Stuart). Poeta zrobił z niej nie lekkomyślną i czułą bohaterkę tylu dramatów, lecz istotę okrutną i przewrotną. Ośmieliwszy ku sobie Chastelarda, posyła go następnie na śmierć. I jest okrutną nietylko dla uratowania swej reputacyi, ale ma popędy krwiożercze, lubi złowrogi blask stali, zbliżonej do ciała, widoki mordu i rzezi. Taką też jest Katarzyna Medycejska w dramacie „Queen Mather," osnutym na tle nocy św. Bartłomieja. Taką jest jego Wenus, Fedra, Faustyna. W „Laus veneris" *) poeta daje nam hymn bogini piękności, która przestała być wdzięczną córą Diony, rozkoszą ludzi i bogów, lecz jest bóstwem, które pali i zabija, które dławi rękami i dusi zwojami swych włosów. Jest to Wenus nie pogańska, ale raczej romantyczna, spadła ze swej boskości, kryjąca się w zacisznej grocie i przykuwająca Tannhäusera zapomocą czarów dyabelskich w oczekiwaniu, gdy ludzie znowu powrócą do jej ołtarzy.

„Phaedra" Swineburne'a także nie współnego z grecką nie posiada. Córa Pasiphay zadaje sobie śmierć, widząc otchłań, w którą ją namiętność strąca u Eurypidesa. U poety angielskiego bohaterka obiera śmierć nie jako karę, lecz jako rozkosz. Mieszając obrazy miłości z obrazami krwi, chce ona umrzeć z ręki Hipolita, błaga go o mękę, która jest odmianą namiętności i smakuje z rozkoszą myśl głębokiej, czerwonej rany.

Jego kobiety — to tygrysice dzikie, Menady, które prują żyły swych kochanków, aby wyssać z nich krew i uspokoić pragnienie. Swineburne robi okrutną nawet Sapho, tę „dziesiątą Muzę" Platona: ona liże z rozkoszą rany, które zadaje w swych lubieżnych karesach. W „Anaktoria" autor stara się przelać płomień znanych jej wierszy doryjskich w język angielski.

Wszystko to przypomina bardziej jakiś sabbat średniowieczny, niż poganizm. A jednak poeta angielski uważa się za poganina czystej krwi: w swym „Hymnie do Prozerpiny" miota przekleństwa na świat za porzucenie starych bogów i przepowiada

*) Songs and Ballads, t. I.

powrót do nich, szczególnie do Wenery, której sam ślubował kult nieustanny i gorący.

Łatwo zrozumieć, ile gromów i plwań ściągnął na siebie w nabożnej Anglii. Istotnie, trudno go nazwać moralnym, jest on raczej „jenseits des Güten und Bösen, jenseits der Moral“ — miarka ta byłaby zupełnie nieodpowiednia w zastosowaniu do ducha, który znajduje się w potężnym zatargu nietylko z ludźmi, ale z bytem wogóle. Poety, jak Byron lub Swineburne, nie można rozpatrywać tylko w stosunku do społeczeństwa. Zatrącają oni daleko głębiej ogólne, metafizyczne podstawy bytu — czynią wrażenie jakichś dziwnych meteorów, spadłych skutkiem tajemniczych kataklizmów, które zaszły gdzieś w bezbrzeżnej przestrzeni. Śmiesznem byłoby przystępować z jakimś łokciem do tytana, któremu świat jest klatką i który krwawiąc się o jej ściany, jęczy namiętnie: „Zdejmijcie z mego czoła ciężar przeznaczeń!“ Przed grozą tej strasznej zagadki bytu, która nas otacza, wszystkie, najbardziej fantastyczne pozy są usprawiedliwione, gdyż znajdujemy się „jenseits der Moral.“ Swineburne jest fatalistą: czuje na sobie mrożące tchnienie losów i walkę z nimi uważa za bezużyteczną. Poeta spogląda na ten bezbrzeżny ocean rzeczy, który się wiecznie toczy, pod bielejącym wiatrem przyszłości niezmordowaną falą. Unosi on z sobą błyski zniszczenia, trzask upadków, gromy stuleci. Krople jego są gorzkie, jak krew, a grzbiet jest nakształt pazurów, które szarpią fale, jak rekiny o zatrutych pletwach, a mgły nakształt duchów, jeszcze niebędących. I wówczas zwraca się do bogów z zapytaniem: „czyż utrzymacie na wodzy ten ocean? Czyż ukarzecie go swemi rózgami? Czyż je uwięzicie, to morze, które jest starsze od was wszystkich, o bogowie? Wy przejdziecie i nie będziecie więcej, a jego fale zakryją wasze głowy.“ (Hymn do Prozerpiny). Swineburne pisał najwięcej dramatów, a jednak nie jest dramaturgiem. Jego tragedye w rodzaju „Atalanta in Calydon,“ gdzie można się obejść dziś pierwotną psychologią, są wspaniałe. Dramaty wszakże z późniejszych czasów, w rodzaju „Trylogii,“ wymagające większej indywidualizacyi osób, ludzi z krwi i kości, są słabsze. Jest on lirykiem — jego wylewy liryczne mają potęgę czysto Shakespearowską, ale wszędzie, nawet w dramatach, znajdujemy tylko te wylewy zamiast akcyi i żywych osób. Dlatego też wolimy jego zbiory liryczne, „Song and Ballads.“ Ostatni ich tom nie zawiera już tak drażliwych przedmiotów, jak „Song Veneris“ lub „Hymn do Prozerpiny“: autor uspokoił trochę swą Muzę — nie chciał sobie, być może, zamykać drogi do urzędu laureata. Z tego prawdopodobnie względu zatrąca on też z fanatyczną energią struny patryotyczne w „Armada“ i „The Common weal“ są to namiętne hymny na cześć ojczyzny angielskiej, przyczem autor uwielbia nietylko jej wolność, ale i... protestantyzm. Najpiękniejsze rzeczy zbioru poświęcone są morzu (To a sea-mew, A word with the wind, Neaptide); fale, burze, wiatry — to żywioł ulubiony poety. Z poezyj tych wydziela się prawie zapach słonej wody i powiew morskiego wiatru. Najzagorzalsi wrogowie Swineburne'a przyznają mu niepospolity dar harmonii, zbogacił też sztukę mnóstwem nowych rytmów. Powiększył znacznie, wślad za Whitmanem, rozmiar wiersza (niektóre w ostatnim zbiorze mają po 17 sylab) tak, aby średniówka i rym stały się mniej czułemi, zwrócił natomiast całą uwagę na harmonię. Bogactwem języka rzadko kto mu wyrówna: na każdym kroku zalewa nas potopem dźwięcznych słów i wspaniałych obrazów. Zauważmy nareszcie, iż Swineburne stoi na czele nowej szkoły, którą przezwano „młodą“ — ogłosiła ona wojnę idylistom z Tennysonem i moralizatorom z Browningiem — jest natomiast zwolenniczką prawdy i uczucia. Obecnie najwybitniejszym uczniem Swineburne'a jest Payne, poeta liryczny, ściągający na siebie też same zarzuty, tylko w znaczniejszym daleko stopniu, niż mistrz.

L. W.

LITERATURA RUSKA.

Włodzimierz Korolenko. *Szkice i opowiadania*, książka druga. Moskwa 1893.

II.

Czy to nad brzegami Leny, czy Wietługi, czy wreszcie na tle bujnej natury prowincyi południowych, Korolenko z równą swobodą i łatwością zagląda głęboko do duszy swych bohaterów, patrzy ich oczami na świat otaczający. Nie staje atoli na uboczu, jako spostrzegacz odosobniony; przeciwnie — prawie we wszystkich opowiadaniach sam bierze również udział żywy. Kreśląc sylwetki pojedyncze, lub też całe obrazy splecionych figur, dorzuca czasem od siebie słów kilka, ale ten subjektywizm nie razi, być może dla tego, że go autor zlewa po mistrzowsku z tłem ogólnem opowiadania, tak iż barwność nie traci na sile. Korolenko nie stara się, jak inni pisarze, wykończyć jednej figury, lub całej ich grupy, związanej wspólnymi losami. Są to raczej obcięte po obu stronach obrazy: Na pierwszym planie i dalej przesuwają się różnorodne postacie, od jednego krańca ku drugiemu. Ale bez względu na to, czy się kąpią one w świetle, czy toną we mgle i półmroku, nie mogą ujść uwagi; parę rysów od niechcenia rzuconych, uwydatnia te sylwetki, lekko naszkicowane; jeden drobny moment, a nawet tylko błysk jego, daje pojęcie o całej postaci, z epizodycznej figurki tworzy typ wyraźny i nie trzeba snuć bajki, ażeby wzruszyć i zająć czytelnika dramatem życiowym, odkryć zasłonę, po za którą toczy się szorstka dola ludzi zbolałych.

Korolenko ze szczególnem zajęciem wnika w duszę ciemnych i ujawnia niepospolity dar pochwytywania rysów psychologicznych. Jego poprzednia większa opowieść p. t. „Ślepy muzyk“ jest szeregiem cierpień moralnych, wynikających z kalectwa. Otóż w ostatnim zbiorze *Szkiców i opowiadań* wiele jest pokrewnych rysów w całych masach ludzi ciemnych, ale duchowo. Ślepy Pietrek cierpiał nad tem, że mu natura poskąpiła najważniejszego zmysłu; tu zaś cierpią rzesze, którym nierówne warunki życiowe poskąpiły kilku promieni. Jeden niezwykły fakt w przyrodzie, który człowieka ukształconego zajmuje i ożywia, dla szarych tłumów staje się źródłem niewysłowionych cierpień. Faktem takim jest właśnie całkowite zaćmienie słońca. Obok obserwatoryum na prędce zbudowanego, w którem zajęli miejsce astronomowie zagraniczni, zgromadziły się wzburzone niepokojem tłumy tubylców. Jakiś straszny ciężar legł na ich dusze. Koniec świata, koniec bytu! Z niedowierzaniem słuchają zapewnień, że tarcza słoneczna znowu zabłyśnie i machinerya wszechistnienia potoczy się zwykłym torem. Teleskopy, spokój uczonych, z jakim zabierają się do badań, nie dodaje im otuchy, przeciwnie — rodzi oburzenie, podrażnia uczucia religijne. Narzędzia astronomiczne bluźnierczo swemi soczewkami spoglądają w niebo, zuchwalcy uczeni śmią badać tajemnice niedostępne dla rozumu ludzkiego. „Patrz! wycelowali do Boga!.. Od tego zguba na nas paść może.“ — Woła ktoś w tłumie. W miarę ustępowania mroków posępne twarze się ożywiają, dusze, zlękane trwogą, spokój napełnia. „Słońce, słońce!.. — woła autor — Nie przypuszczałem, że i na mnie jego powrót zrobi tak silne kojące wrażenie, podobne do uczuć pobożnych, dziękczynnych. Co to było: odgłos milczących oddawna strun w głębi każdego serca ludzkiego, schylenie głowy przed źródłem światła, czy też raczej poczucie w danej chwili, że ten pierwszy błysk rozproszył gęste mgły przesądów, fałszywych pojęć, rozdźwięki w tych tłumach?.. Zajaśniał promień i znowu staliśmy się braćmi... Tak, nie wiem, co to było; to tylko pewna, że moje westchnienie zlało się z ogólnem westchnieniem otuchy, wyrywającem się z piersi tłumów... Posępny robotnik stał z podniesioną ku niebu twarzą, na której rozlało się odbicie rodzącego się światła. Był uśmiechnięty. „Ach ty! — zawołał — I do czego to już człowiek doszedł. Nno!“ W tym wykrzykniku ile się mieści otuchy, szczęścia pod wpływem powrotu światła!..

Te dusze, błądzące w mrokach, mózgi, mgłą zasnute, wzrok z wytężeniem szukający drogi, autor przesuwa nieraz przed czytelnikiem. Uczucia te wybornie uplastycznił w odtworzeniu psychologii tłumów, ożywionych ideą religijną. W szkicach: „Za obrazem“ i „Rzeka gra“, widzimy szeregi tych ludzi, mamy sposobność wraz z autorem przysłuchać się ich rozmowom, sporom różnych sekciarzy, poznać ich prostaczą naiwność, domorosłą sofistykę, chęć rozwiązywania i wyjaśniania zagadnień niepojętych. Owe myśli, snute z ciemnych zakątków mózgu, rwą się, targają serce i duszę poszukiwaczów prawdy niezgłębionej. Umysł wyczerpany roztrząsaniem tajemnic, omdlewa i lgnie bezkrytycznie do pierwszego lepszego twierdzenia, wypowiedzianego w mglistych słowach przez bystrzejszych uczestników sporu.

Korolenko jest wybornym znawcą duszy nie tylko szarych tłumów; umie on także doskonale odtwarzać stan psychiczny dzieci. Przekonaliśmy się już o tem z jego utworów poprzednich, ze „Ślepego muzyka“ szczególnie zaś z opowiadania p. t. „W złem towarzystwie,“ gdzie w małej postaci ludzkiej kołacze wielka zbolała dusza, odepchnięta przez najbliższych, cierpi pod działaniem żalu i zetknięcia się z występkiem. W najnowszym szkicu p. t. „W nocy“ widzimy świetnie pochwycony moment objawów psychicznych gromadki dziatwy, usiłującej się wyzwolić z więzów tajemniczości, która legła wielkim ciężarem na wątłe przedwcześnie budzące się umysły, podniecane wrażliwością nerwową. W nocy przy słabym blasku świecy niepokoiły dzieci widziadła, jakieś dziwaczne postacie snujące się po pokoju, a wyrastające z opowiadań niańek i starszych osób w kółku rodzinnem. Dziatwa chwytała chciwie strzępki rozmów osób dorosłych i usiłowała odtworzyć jasne w swej wyobraźni o nich pojęcie. Gdy w sypialni zapanowała cisza, zrywał się zwykle jeden chłopak podchodził ku świecy i rozmyślał. Ta świeca była miejscem schadzek; omyliwszy czujność niańki, gromadka prowadziła gorączkową przyciszoną rozmowę o rzeczach tajemniczych, które nie mogły się zmieścić pod malutkiemi czaszkami, więc jej mózgi starały się wchłonąć przynajmniej skrawki tych niepojętych zjawisk. Urywki podań rodzinnych zlewały się w jedną całość. Umysł dziecięcy nie zdawał sobie sprawy, zkąd się brały szczegóły uzupełniające, o których nikt nie opowiadał. Lecz oto nadeszła niezwykła noc; gdzieś z przeciwległego skrzydła domu dochodził gwar, krętanina, coś się tam stać musiało. Dzieci zasłyszały, że ma im przybyć wkrótce nowy mały towarzysz. Może to już chwila nadeszła! Skupiona przy świecy gromadka jęła żywiej rozprawiać i dociekać, skąd się dzieci biorą. Różnie im tłomaczono i jakoś nic nie trafiało do przekonania, może właśnie ze względu na sprzeczność wyjaśnień. Umysł dziecięcy ma także swoją logikę, często zadziwiającą i przy wadliwych systemach pedagogicznych — nie-

bezpieczną. Może najmniej wątpliwości budziło wyjaśnienie Moszka. Tłomaczył on, że Bóg ma dwóch aniołów: jeden zabiera ludziom dusze, drugi — przynosi je z tamtego świata. „Gdy jest potrzebne komu dziecię — kobieta staje się chorą.“ — Dla czego? — Bo na ziemię zstępują obaj wysłańcy — anieli. Jeżeli się Bóg nie rozgniewa, to każe położyć niemowlę obok kobiety i — wracać. W przeciwnym razie każe dać jedno życie, a zabrać drugie. Dzieci uprzytomniły sobie tej nocy niezwykłej wyjaśnienie Moszka: „Słuchaj! — wyszeptał jeden malec; — jeżeli to prawda, zatem obaj oni...“ „Tak, gdzieś są tutaj!“—dokończył drugi i poczuł dreszcz trwogi. Ciekawość przemogła, płacz nowonarodzonego pchnął dziatwę do głębi mieszkania i gdy wbrew oszekiwaniu nie ukarano jej za tę śmiałość, jeden rezolutny chłopak wyłożył teoryę Moszka i prosił o potwierdzenie jej prawdopodobieństwa. Ale czy i to zaspokoiło budzący się krytycyzm w umysłach dziesięcych. Jak im tę tajemnicę wyjaśnić? Pedagogia na to nie ma środków. Wyłożyć popularnie fizyologię, jak żąda lekarz w opowiadaniu Korolenki? „Próżne nadzieje!— ktoś mu odpowiada. — „Umiesz niewiele, a zdaje ci się że — wszystko. One zaś (dzieci) czują tajemnicę i starają się przyoblec ją w obrazy... Są więc bliżej prawdy.“ W tym drobnym na pozór szkicu tkwi wielkie zagadnienie, jedno z najtrudniejszych łamigłówek pedagogicznych.

Korolenko umie snuć piękne opowiadania, przetykane niepospolitą nicią poezyi. Na tle podań ludowych i — sielanki rozwija niby bajkę, przeplataną jednak obrazami nawskroś realistycznymi. Istnieje przesąd, iż podczas święta żydowskiego *Jom-kipur* (sądny dzień) dyabeł — specyalista musi zabrać jednego z rodu Izraela. Autor na tle tej baśni roztacza obraz duszy i pożądań wzbogaconego chłopa—młynarza, jego marzenia o zgarnianiu grosza do własnej kalety z kieszeni całej wioski za pomocą szynków i lichwy. I widział chciwiec, jak współzawodnika starego szynkarza, Jankla, zabrał dyabeł żydowski, on zaś zapanował całkowicie w wiosce, za pośrednictwem dwóch szynków i pożyczek zubożył ją doszczętnie. Pod działaniem bogactwa zrodziły się w nim najwstrętniejsze cechy, chciwość doszła do tego, że nawet zagroził sprzedażą za długi chaty dawnej swej oblubienicy. Lecz oto miarka się przebrała. Po roku młynarz stanął na grobli w noc księżycową i widzi: na niebie chmurka szybko się posuwa, jak przed rokiem. To nie chmurka, lecz dyabeł wraca z Janklem po to, ażeby zabrać wzamian młynarza za krzywdę ludzką. Zanim jednak chwila stanowcza nadeszła, przed młynarzem przesunął się szereg ludzi wyzyskanych obdartych, którym się zły duch przyjrzał i zręcznie ich skarg wysłuchał. Gdy już porwany winowajca był wysoko nad swą wioską w szponach czarta, wyszła jego dawna oblubienica i zawołała donośnie: „Rzuć, to moje!“ Dyabeł usłyszawszy te magiczne słowa, wypuścił ofiarę; młynarz zaś wdzięczny wpadł do chaty dziewki, boso bez czapki i pomimo wymierzonych sobie policzków, jął błagać o zmiłowanie. Zdziwili się ludzie zgromadzeni dokoła chałupy, skąd młynarzowi okrutnemu przyszła chęć wrócić do lubej porzuconej i to w nocy wprost z młyna, z legowiska. Połączenie tych sennych majaczeń i pragnień bogacza-chłopa z podaniem o „dyable-chwytaczu“ jest wielce oryginalne, a tem większą posiadające wartość, że w formie wysoce artystycznej, pełnej prostoty, mieści się prawdziwy obraz życiowy z szeregiem postaci charakterystycznych. Dusza artystyczna Korolenki, lubująca naturę, odzywa się w każdem jego opowiadaniu, w najmniejszym szkicu. Z nadzwyczajną plastyką rzuca on mimochodem piękne obrazy przyrody, podchwytuje najlżejsze jej drgnienia. Czy to jest północ mroźna, zastygła, czy obszary stepowe na południu w rozkwicie lata, czy wreszcie podmuchy jesienne śród pól, lasów i siedlisk odosobnionych, wszędzie pisarz ten umie wykrzesać życie. Czytelnik, przyglądając się licznym postaciom Korolenki, słuchając ich rozmów, nigdy nie zapomina, na jakiem to jest podścielisku. Autor prowadzi swego słuchacza wszędzie i nie daje mu, jak na fotografii, tylko twarzy lub popiersia swego bohatera, ale wszystko, co się dokoła dzieje. Rozmowa najbardziej ciekawa z przygodną grupą ludzi nie pozwoli zapomnieć o tem, że się leży pod drzewem, że nad jego zielenią wszczyna się niepokój na widnokręgu i pomimo woli czytelnik myśli o tem, gdzieby się skryć przed nadchodzącą burzą. Przyglądając się twarzom pątników przy ognisku wieczorem, słyszymy jednocześnie szum przybierającej rzeki, widzimy zapadającą w mgłę jej sinawoszarą powierzchnię, kołyszący się na jej falach prom, a wyżej nad sobą świecące okna wioski. Nawet będąc w izbie podczas ciemnej nocy, pomimo zaciekawiających scen wewnątrz, słyszymy co się dokoła niej dzieje w przyrodzie. Tak wielki dar plastyki pisarskiej jest jednem ze źródeł powodzenia młodego nowelisty.

Zenon Pietkiewicz.

LITERATURA POLSKA.

Klemens Junosza. *Wybór pism*, Tom II. *Pod wodę*, obrazek z życia wiejskiego.

Klemens Junosza posiada fizyognomię odrębną; odgraniczył sobie pewną sferę tematów, cały światek stosunków i osób, ma swoisty sposób pisania i brania się do rzeczy. Wśród pospolitej szarzyzny, płytkich i gadatliwych wątków powieściowych, mdłych i frazeologicznych romansideł lub też utworów, obliczonych na podrażnienie stępiałych albo też przeczulonych nerwów, prace jego wyróżniają się indywidualnym kolorytem, a może także manierą, pewnym darem komizmu, obserwacyą żywą i trafną, formą dosadną i naturalną. Co prawda, uwagi te stosują się tylko do jego drobnych prac, obrazków i szkiców. Jest to naturalne dziedzictwo jego talentu, niewyposażonego fantazyą twórczą, niezdolnego snuć barwistej przędzy szerokich uogólnień artystycznych. Myśl jego nie przenika i nie wgląda w tajniki doniosłych zagadnień współczesnych, uczuciowość nie płonie porywami burzycielskimi, marzeniami tęsknemi lub śmiałemi. Duch jego — to nie wulkan rojeń i planów wybujałych, nie odczuwa on i nie wchłania w siebie wszystkich prądów myśli współczesnej, nie brata się i nie zespala z wszystkiemi ludzkiemi troskami i cierpieniami, nie odbija i nie ogniskuje w sobie mnogich i rozbieżnych fal życia obecnego.

Wiedzie on czytelnika gościńcem dawno ubitym przy świetle latarki powierzchownej, pokazuje mu dworki szlacheckie, karczmy żydowskie, chałupy chłopskie. Czytelnik niewielką korzyść odnosi z takiej wędrówki, widzi on tylko kształty zewnętrzne, pozory ludzące, cały deptak powszednich spraw i zabiegów. Dworki wynurzają się przed nim w powodzi tonów smętnych i łzawych, owiane mgłą czułostkową. Junosza rzecznikiem ich jest i dziejopisem. Całą istotą współczuje ich interesom i ideałom, broni i wywalcza uznanie dla ich pracy obywatelskiej, chce wzbudzić sympatyę dla trudów mężnego i wytrwałego stanowiska na zagrożonej placówce. W wyobraźni autora klasa rolników obywateli, posiadaczy średniej własności ziemskiej zarysowywa się w ubarwieniu idealistycznem, pełna cnót rodzinnych, skrzętna i zabiegliwa, niewyzuta z poczucia obowiązków społecznych są to ludzie szczerzy, nie dotknięci żądłem wyrafinowania, nie pojmujący pesymistycznych wątpień; świat nie przedstawia im się jako chaos splątanych i wrogich dążeń i zjawisk, lecz jako widownia cichych znojów, wyiskrzona ognikami wierzeń tradycyjnych. Szlachta Kl. Junoszy przedstawia galeryę typów swojskich, wykrojonych ręką przyjaciela zażyłego, ożywionych dobremi chęciami i niewybiegających myślą poza swój światek. Nie jest to klasa producentów rolnych. Na przedstawicieli ostatniej kategoryi autor patrzy niechętnie i stara się ujawnić nawet w nich temperament sielankowy, niecałkiem jeszcze podporządkowany uczuciom wyrachowania i zimnego rozsądku. Nie może on się pogodzić z przewrotem, w łonie ziemiaństwa; nie może pojąć szlachty wiejskiej, odartej z barw patryarchalności, pozbawionej uroku łagodnej sielanki, cnót i zwyczajów tradycyjnych. Pomimo czułych westchnień i pobożnych błogosławieństw, w gruncie rzeczy szlachta jego to uosobienie bezsilności nieporadnej, nieprzystosowania się do warunków obecnej gospodarki rolnej. To też postacie jego należą do gatunków kopalnianych. Utwory Junoszy, obrazujące pomienioną sferę, nie są właściwie dokumentami życia, lecz raczej dźwiękami jakiegoś kwilącego marszu pogrzebowego. W powieści „Pod wodą“ oprowadza nas po zakątku wioskowo-miasteczkowego życia prowincyonalnego. Naprzód zapoznajemy się z p. Załuczyńskim, właścicielem Piotrowic, majątku dużego i dobrze zagospodarowanego. Jest to uosobienie zdrowego rozsądku, wyrachowanej, systematycznej oszczędności i praktyczności. Ożenił się z panną posażną i zgodną pod względem charakteru i skłonności. Dzieci także zamierzył pokierować w hołdowanym przez się kierunku. Syn Janio, trzymany był ostro, pod ciężkiem jarzmem despotyzmu ojcowskiego. W szkołach zaprzyjaźnił się serdecznie i zbratał z Kuroszem, synem zagonowego szlachcica na Litwie, i z Ludwikiem Karpowiczem, którego ojciec posiadał niewielki i zadłużony majątek w sąsiedztwie Piotrowic. Kurosz był nieco ułomny, sprytny jednak i sarkastyczny. Ludwik odznaczał się naturą potulną i flegmatyczną. Janio znów przedstawiał charakter uczuciowy i szlachetny, marzycielski i liryczny. Surowe rządy ojca nie złamały go i nie znieprawiły, wkorzeniły pewną atoli uległość i potulność, posuniętą do pewnych tylko kopców granicznych.

Ukończywszy uniwersytet, Janio przyjechał do domu i odrazu został wzięty przez ojca w ostre karby pracy i obowiązków gospodarskich. Stary Załuczyński, ufając pracowitości i uzdolnieniu syna, wypuścił mu w dzierżawę folwark, gdzie potrzebne były wysiłki żmudne i ustawiczne. Janio wziął się rączo i ochotnie do pracy. Życie pędził zamknięte i odosobnione, odwiedzał tylko rodzinę Karpowiczów. Stary Karpowicz, „człek poczciwy z kości,“ jak się to mówi, bynajmniej nie czuł chęci do krążenia myślą w szerszych przestworach, krzątał się gorliwie koło gospodarki i pracował głównie na rzecz licznych i uciążliwych wierzycieli, przeważnie chałatowych. Jest to idealista starej doby. „Bo co tu dowodzić — mówi — jużcić człowiek w ziemi grzebie, ale oczy niekiedy w niebo podnosi, bo duchem, cząsteczką jest jakąś stamtąd.“ Dziękuje więc niebu za lepsze chwilki w życiu, za gwiazdy, ciche noce, za wypoczynek, za tę ziemię dobrą, co darzy chlebem i kwiatami, za wszystkie dni przeżyte, choćby przecierpiane i przepłakane... za kochanie, za smutki, za pociechy, za nadzieje... Najbardziej przyciągały Jania panieki, a właściwie najstarsza, Jadwinia. Są to istotki cnotliwe, łagodne, potulne, wiecznie pło-

niące się, pielęgnujące kwiatki, rozumie się, urodziwe i z pewnym polotem poetyckiego nastroju. Jadwinia należy do spospolitowanego już typu „polskiej dziewicy.“ Występuje ona w poetycznym garniturze westchnień, lirycznych i głębokich spojrzeń. Uczucie jej rzadko obleka się w żywe słowo. Stanowcze *veto* ojca zagrodziło drogę marzeniom Jania o pobraniu się. Domorosły pozytywista nie chciał przystać na ślub syna z córką „bankruta.“ Córka zresztą sama stanowczo odtrąciła propozycyę Jania, nie chcąc być powodem niesnasek w rodzinie. Kochanek jednak nie wyrzekł się nadziei szczęścia przyszłego, tylko uczucie swe zawarł w głębi duszy i oddał się cały pracy i obowiązkom. Stosunki atoli z ojcem bardzo oziębły. Ale stary Załuczyński głęboko miłował syna, lubo, postępując wmyśl swojej teoryi, nie wykazywał tego. Rozłam moralny począł go gnębić dotkliwie. Powierzchowna powłoka lodowa zaczęła pękać. Tego przeobrażania się wewnętrznego dokończył traf. W miasteczku konie poniosły i rozbiły powóz i mocno pokaleczyły starszego Załuczyńskiego. Odniesiono go do domu Ludwika, gdzie długo przeleżał doglądany starannie i tkliwie przez siostry, zwłaszcza Jadwinię. Stary despota do reszty rozmiękł w tej atmosferze promienno-uczuciowej i podjął się wreszcie sam czynnego orędownictwa w sprawie połączenia kochanków.

Wiemy, co przedstawiają starzy. Młodzi zaś mają być wyobrazicielami ideałów ogólnych, miłują nietylko cele osobiste, lecz także dobro publiczne. Ale frazeologia ich ideologiczna jest mdła i wyszarzana. Powtarzają takie wytarte zdania, jak o potrzebie opiekowania się „maluczkimi“ i „ubogimi duchem.“ W całym utworze tylko jedna postać Wigdora, karczmarza, jest wiarogodna i pysznie uchwycona. Jadwinia pozostaje wciąż spowita w obłoki różowe.

Bronisław Chrz....ski.

NOTATKI LITERACKIE.

— *Zarys psycho-fizyologii ogólnej* A. Herzena, wydany w tłomaczeniu polskiem (A. Zasowskiego) przez redakcyę *Głosu*, stanowi książkę bardzo pożyteczną z wielu względów, jest bowiem krótki (139 str.), jasny i naukowy. Autor wykłada w niej: o materyi i sile, sile życiowej i psychicznej, o doświadczeniach na zwierzętach, o świadomości i nieświadomości, o atawizmie umysłowym itd.

— Dr. A. Rothe, lekarz chorób umysłowych, wydał (jako odbitkę z *Pamięt. Towarz. lek.*) „Rys dziejów psychiatryi w Polsce.“ Autor cofa się aż do pierwszych okresów naszej historyi, kreśli obraz postępów medycyny, prześladowania czarownic, opieki nad obłąkanymi, posiłkując się przeważnie dziełem Gąsiorowskiego. Jest to studyum bardzo staranne.

— Musiała ujawnić się jakaś bardzo widoczna potrzeba, skoro prawie współcześnie ukazały się aż cztery dzieła, poświęcone chorobom wenerycznym a przeznaczone dla szerszej publiczności. Ostatniem ogniwem w tym łańcuchu jest *Poradnik lekarski w chorobach wenerycznych* dr. W. Wierzbowskiego. Po krótkim wykładzie anatomii i fizyologii odpowiednich narządów autor mówi o rozmaitych metodach i środkach leczniczych, a wreszcie udziela rad i wskazuje sposoby zapobiegawcze.

— P. G. Korbut sprawi tym, którzy zechcą przeczytać jego *Wyrazy niemieckie w języku polskim*, cały szereg niespodzianek. Co krok bowiem doznają nadzwyczajnego zdziwienia, że pewne wyrazy, brzmiące i wyglądające czysto po polsku, są obcego rodu. Kto przypuszcza, że szczudło, wikłać, łan, łotr, galgan itp. nie są samorodnymi tworami naszej mowy? A ile tych pożyczek autor wykazał! Aż przykro czytać jego rozprawę.

— P. Wilhelm Jelski obdarzył nas pouczającą książeczką, opisującą *Łużyce*, górne i dolne. Zawiera ona wrażenia z podróży, poprzedzone krótkiem objaśnieniem historycznem, autor jednakże nie zajmuje się sobą, lecz swoim przedmiotem i rzuca światło na wszystko, co w tym kraju warte poznania.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z GALICYI.

Lwów, 16 marca.

Chłosta podatkowa. — Obdzieranie biedaków. — Przykład sekwestracyi. — Rabowanie instytucyj dobroczynnych. — Obojętność ogółu.

Był we Lwowie za dawnych czasów „Schuldirector,“ który chodził po ulicach miasta w białym krawacie, w sztywnie wykrochmalonej koszuli i przechwalał się, że chociaż uczniów ciągle w skórę bije, przecież ani jeden nie odważy się krzyczeć. Coś podobnego dzieje się w naszej skarbowości, bo gdy nas biją, wzbraniają krzyczeć, że boli. Na szczęście mamy parlament, gdzie odezwie się *czasem* głos skargi, mamy jedno czy dwa pisma niezawisłe, które łatami tłumioną sprawę wydobywają na światło dzienne. Taką sprawą jest najnowsze, istotnie drakońskie rozporządzenie naczelnika władzy skarbowej, przykładające nam nóż podatkowy do samego gardła. Już to do najciemniejszych kart naszej błogosławionej Galicyi należy skarbowość z całym systemem podatkowym. Przemówienie d-ra Weigla, posła krakowskiego do Rady państwa, które dało ministrowi finansów powód do oryginalnej „obrony Galicyi wobec ich własnych posłów,“ rzuca ponury cień na te stosunki. Szruba podatkowa ciśnie najbardziej biednego chłopa, który z tradycyi swych ojców wie, że za czasów rzeczpospolitej nie był wcale opodatkowany, że nie płacił ani gruntowego, ani domowego, ani wreszcie nie składał ofiary z swej krwi, boć wiadomo, że wojskową służbę pełniła szlachta. Wspomnienia tego nie należy lekceważyć, zwłaszcza, że nawet za rzeczpospolitej krakowskiej, która dopiero w r. 1846 dostała się pod rządy austryackie, znano tylko jeden podatek, mianowicie *podymne*, wynoszące 50 ct. Jakże się dzisiaj zmieniło położenie?! Chłop płaci niejednokrotnie 20 do 30 złr. i więcej. A w jaki sposób należność bywa z niego ściągana! Chałupnik naprz., w którego wmówiono, że posiada kilka morgów gruntu, ponieważ przypadkiem zapisane są na jego nazwisko, musi przez lata całe starać się, ażeby go uwolniono od 10 lub 20 złr. podatku, chociaż nie posiada ani pół stopy ziemi. A gdy wreszcie po owych latach przekonano się o tem, albo skargi jego zwycięzyły, gdy mu wytłomaczono, że jako chałupnik właściwie nie potrzebował nic płacić, może mu zniżą podatek na 2 lub mniej niż 2 złr., tego atoli, co już wniósł nie otrzyma napowrót, ponieważ ręka rządu co raz zagarnie, nigdy tego już nie odda. Właściciele mniej cierpliwi, widząc, że nie wytrzymają pompy podatkowej, sprzedają swoją realność i wynoszą się za granicę.

Przejdźmy do podatku zarobkowego. Ażeby módz go płacić, trzeba przedewszystkiem coś zarabiać. Jakimże jednak sposobem można zarabiać w kraju, w którym nie ma ani ruchu handlowego, ani przemysłowego? Podczas ostatniej epidemii cholerycznej cały ten ruch formalnie zamarł, miasta były zamknięte, nie można było sprowadzać towarów, a jeszcze mniej wysyłać. Wszystko dążyło do bankructwa. I w takiej porze podwyższają podatek do niebywałej wysokości właśnie biednym rzemieślnikom, a w jakiej postaci, niech objasni następujący wypadek. Pewien handlarz mebli, który równocześnie był tapicerem, a którego gniótł ciężar opłat z dodatkami 8 złr. 40 ct., rzucił niewdzięczne zajęcie, spodziewając się, że podatek zarobkowy będzie mu zmniejszony. Omylił się wielce, gdyż za sam handel mebli, zamiast 8 złr., policzono mu 31 złr. podatku. Biedak odwołał się do krajowej dyrekcyi skarbu, mówiąc: na miły Bóg, albo tutaj rozminięto się ze zdrowym rozsądkiem albo wkradł się jakiś błąd; wtedy zniżono mu podatek do 21 złr. 50 ct. Dopiero trybunał administracyjny zniósł oba orzeczenia, gdyż miasto, w którem przebywał, nie należy nawet do tej klasy, ażeby podług ustawy można od niego żądać tylko podatku. Od niepamiętnych czasów było tak, że wysokie cła i podatki prowadziły zawsze do tego, iż niejeden uciekał się do przemytnictwa, narażając się na karę, aby tylko ulżyć sobie ciężaru. Otóż nasi celnicy na rozkaz dany z góry urządzają łowy na nagrody za chwytanie przemytników. Jakie zaś nadużycia dzieją się przy tem, przytoczyć można fakt, na którego wspomnienie włosy dębem stają. W Oświęcimie sekwestrator przyniósł pewnemu obywatelowi, zjawiwszy się w jego nieobecności, rozkaz zapłacenia około 70 złr. Pani domu powiada: „Nic nie wiem o tem, mąż zapłacił, posiada kwit. Gdy powróci, to panu go pokaże.“ „To są puste wybiegi — odpowiedziano jej — przeprowadzę egzekucyę.“ Kobieta zaczęła błagać: „Mąż jest szanowanym obywatelem, nie rób nam pan wstydu, przed domem jest już zbiegowisko.“ „Mnie nic do tego“ — była odpowiedź. Idzie do serwantki, gdzie chowano trochę swoich kosztowności i bierze dwa lichtarze. Kobieta mu tłomaczy: „Tu jest wyryty mój znak familijny, to własność moja, a nie męża.“ Zaczyna się z nim szamotać, nie chce dopuścić, ażeby zabrał lichtarze. W złości — natura jest paskudnem ścierwem, powiedział już Goethe; więc uderzyła go odłamkiem lichtarza w rękę i lekko zraniła. Wszczęto gwałt i orzeczono, że kobieta dopuściła się oporu przeciw władzy i skazano ją na 4 miesiące ciężkiego więzienia. Nie pomogły żadne wstawiennictwa, matka sześciorga dzieci miała powędrować do kozy. Żandarmi przybywali co tydzień, aby ją zabrać, nie mogli jednak tego uczynić, ponieważ skazana leżała chora. Podano prośbę do cesarza, aby więzienie dzieliła z nią 12-letnia córeczka, którahy chorej matce mogła usługiwać. I cóż się dzieje? *Tymczasem* kwit się znalazł, a więc cała sekwestracya była bezprawna! Niech się zatem nikomu nie zdaje, że choćby najsilniejszem ramieniem można bezpiecznie pochwycić pas transmisyjny. Zarówno nieostrożnego, jak zuchwałego podrzuca on do góry, albo zdruzgocze pomiędzy sprychami własnego koła... Oto biedna młodzież handlowa składa do kasy brackiej, ażeby w potrzebie, na pogrzeb kolegi mieć jakiś grosz zaoszczędzony. Tego rodzaju kasy obciążają obecnie podatkiem, jak gdyby one były spółkami asekuracyjnemi lub bankami! Urzędnicy, którzy z litości złożyli na zapomogę dla kancelistów osobny fundusz 9,000 złr., zapłacić musieli za to 1,000 złr. podatku! Krzyk oburzenia i zgrozy przebiega cały kraj z powodu tej niesłychanej grabieży. W tym jednak wypadku nie należy całej winy za bujne rozplenienie się kwiatków fiskalizmu rzucać na barki naczelnika władzy skarbowej p. Korytowskiego, a tem mniej na urzędników. Główny powód tego w zastraszający sposób rozwielmożniającego się fiskalizmu, który żelazną obręczą krępuje rozwój naszego przemysłu i jak zmora przygniata kapitał nieruchomy, tkwi w naszej zupełnej bierności, a raczej ignoracyi, z jaką wogóle traktujemy te sprawy. Najlepszym dowodem tego jest

okoliczność, że o projektowanej reformie podatku (zarobkowego i dochodowego), która wprowadzić ma zupełny przewrót w systemie podatkowym, posiadamy bardzo niejasne, ogólnikowe tylko pojęcie. I jaki stąd skutek? Kują się w Wiedniu ustawy, których niejasne brzmienie otwiera tysiące rozmaitych furtek i po niewczasie dopiero wszczynamy wrzawę, że gnębią nas wygórowanymi podatkami. Urządzenia konstytucyjne przyniosły z sobą pewien system podstępu, zastosowany szczególnie w dziedzinie prawodawstwa skarbowego, a polegający na tem, że projektowi ustawy nadaje się powierzchownie znamiona humanitarne — u wierzchu każdego paragrafu umieszczają się korzyści kontrybuentów, a u dołu interesy skarbu państwa. Skoro jednak projekt stanie się prawem, wnet przy praktycznem zastosowaniu paragrafy urządzają *salto mortale* i interes skarbu rządowego zajmuje miejsce na górze, natomiast interes opodatkowanych spada na dół. Z szeregu licznych przykładów, ilustrujących podobne postępowanie, przytoczymy jeden. Wiadomo, jaki dobroczynny skutek w innych krajach wywarły na rozwój drobnego przemysłu stowarzyszenia zaliczkowe, zakładane na podstawie ustawy z r. 1875. I u nas zaczęto w tym kierunku pracować, ale niestety, ucisk podatkowy zabijał każdą podobną instytucyę. Z powodu tego „wieszano psy“ na inspektorach podatkowych za to, że zabijają humanitarne stowarzyszenia, ale narzekającym nieznana jest okoliczność, że ucisk podatkowy nie wychodzi z inicyatywy galicyjskich urzędników skarbowych, ale że zawsze „der Druck kommt von Oben.“ Główna wina tkwi w samem ustawodawstwie; jedna jego część bowiem, pochodząca z pierwszej połowy bieżącego stulecia, nie odpowiada ani wymaganiom nauki, ani dzisiejszym stosunkom ekonomicznym, druga natomiast, pochodząca z nowszych czasów, jest tak licho skodyfikowaną, że otwiera szerokie pole do szykan i przeciążenia. Wytworzyło to głębszą tylko przepaść między stanem urzędników skarbowych a społeczeństwem, której początku szukać należy w pozostałości dawnych czasów, kiedy ciężka dłoń centralizmu wzniosła istny mur chiński, oddzielający urzędnika od społeczeństwa. Za ten mur przemykał się urzędnik jedynie wówczas, gdy miał wykonać polecenie władzy, najczęściej gnębiące, jeśli zas wchodził jako przyjaciel, to chyłkiem jedynie i z obawą, że wyśledzony utraci gorzko zapracowany kawałek chleba. I pozostała ta tragedya pomimo zmienionych stosunków; pozostała i snuje się jak upiór po krużgankach naszego życia ze szkodą urzędników i społeczeństwa. U pierwszych przechowała się w formie biurokratyzmu, dziwacznej skamieniałości, urągającej zuchwale duchowi czasu. W biurach — możnaby przypuszczać — pada na nas lotny jakiś pył i osiada, tworząc coraz grubszą skorupę, zamyka w niej mózgi i serca. Rząd, niestety, podsyca ów proces oksydacyi moralnej. Ale i społeczeństwo wiele tu zawiniło; zdarza się nieraz, że w sprawach najsłuszniejszych, ale przykrych, bo wymagająych ofiary od jednostek, zarzuty zwracają się przeciw urzędnikowi, jak gdyby on był czemś więcej, niż prostym wykonawcą obowiązków, niż kozłem ofiarnym swej gorliwości służbowej i paragrafów, stosowanych abstrakcyjnie, wstrzykiwanych w żyły organizmu społecznego, jak owa limfa, która miała suchotników zbawiać, a tylko zabijała ich prędzej! Dola naszych urzędników jest dzisiaj wogóle tak niepocieszającą, że nie dziw, jeśli na tej glebie udają się zazwyczaj nizkie osty egoizmu i zielska apatyi. Zważmy, że oni od pierwszej zaraz chwili wstąpienia do służby dostają się w przepastne tonie mnóstwa obowiązków, a port, do którego łódź ich po pracy zawija, ma tak mało środków ku pokrzepieniu sił strudzonego żeglarza! Skazany wyłącznie na płacę nizką, wobec nakładu pracy, pozbawiony możności uczciwego zarobku ubocznego, wreszcie zmuszony żyć „standesgemaess,“ toczy on walkę rozpaczliwą, walkę z nędzą, która go w końcu strąca w stan bezwładności, albo zniewala do nadużyć...

Prościcki.

LIBERUM VETO.

Odpowiedź publiczna na list jednego z czytelników *Prawdy*.

Epoki życia ludzkości różnią się nie tyle w celach i chęciach, ile w środkach i siłach. Nie ma człowieka, któryby nie pragnął być Arystotelesem lub Kopernikiem; nie ma społeczeństwa, któreby nie pragnęło być potężnem i oświeconem. Dobrych więc pożądań nigdy człowiekowi nie brak, brak mu tylko zdolności do spełnienia ich. Nie można też odmówić naszej dobie usiłowań w kierunku oryginalności. Owszem, w nauce, sztuce, literaturze, wynalazkach, wszędzie ściga ona tę marę, która przed nią ze złośliwym śmiechem ucieka. Gdybyśmy zajrzeć mogli w duszę dzisiejszego poety lub technika, dostrzeglibyśmy w niej niezmordowaną, wyczerpującą pracę nad wymyśleniem czegoś nowego. Często mozoli się biedaczka po dniach i nocach przez długie lata i nie może wycisnąć z siebie nic więcej, prócz potu. Ale nie ustaje, dopóki wreszcie nie zdobędzie się na jakiś pomysł lub czyn, który stanowi wyjątek w regule Ben Akiby, który „jeszcze nie był.“ Chociaż te wysiłki, te znoje, te wreszcie wymęczone tryumfy świadczą, bądź co bądź, o szlachetnych ambicyach natury ludzkiej, z drugiej strony stanowią one jeden z najprzykrzejszych widoków. Jeżeli obraz nędzy, udającej zbytek i przepych, sprawia nam wstręt, to podobnego uczucia doznajemy wobec niemocy, udającej potęgę. A właśnie epoka tegoczesna, uboga w olbrzymów, bogata natomiast w dumnych mierzynów i karłów, nasuwa nam ciągle takie widoki i przejmuje nas takiemi uczuciami. Granice możliwości i rozmaitości w naturze i życiu są rzeczywiście niezmierzone, ale nie wszystko, co w nich powstanie, ma jednaką wartość i prawo do trwałego istnienia. Cielę z dwiema głowami lub pięcioma nogami, ptak łuską pokryty, ryba włochata, posąg z masła, poemat z samych słów i rzeczowników, rysunek sokiem malinowym nakreślony, są to niewątpliwie twory i rzeczy niezwykłe, nie należą jednak do tych, które przyroda lub sztuka ceni i zachowuje. Ani pierwszej, ani drugiej nie chodzi tylko o nowość, lecz nowość celową, użyteczną, rozumną lub piękną. Wiedzą o tem geniusze, zapominają umysły małe, żądzą oryginalności owładnięte.

Gdziekolwiek spojrzymy, możemy łatwo dostrzedz zaznaczone powyże znamiona chwili obecnej. Był czas, kiedy poeci układali swe wiersze w rozmaite figury: w kwadraty, trójkąty, krzyże itd., z głębokiem przekonaniem, że wyrabiają coś znakomicie oryginalnego. Podobnymi dziwolągami są utwory dzisiejszych symbolistów. Dotąd zdrowy rozsądek mniemał, że mechaniczne zestawienie szumnych i tajemniczych wyrazów bez jasnej myśli stanowi karykaturę poezyi; tymczasem symboliści na takiej zasadzie wytworzyli „szkołę,“ odrębny kierunek. Kto by przypuszczał, że np.

A wiatr wstrząsając swą zjeżoną grzywą,
Wydobył z chmur toni błyskawicę żywą
I połamawszy ją na pręty,
Nakreślił piorunem szlak kręty...

że to jest coś więcej, niż pusty brzęk wyrazów? A jednak, takie brzęki uznane zostały za „odrodzenie“ poezyi. Pomimo zaś że wykształcenie mas ciągle rozszerza się i pogłębia, pozostają one jeszcze nadzwyczaj wrażliwe na hypnotyzacyę najgłupszej zuchwałości. Nieraz zdarza się nam słyszeć, a czytelnicy *Prawdy* może widzieli to naocznie, że pewna gromadka osób skupia się około jakiegoś waryata, którego uważa za mistrza i którego obłędne twierdzenia z czcią przyjmuje, chociaż ich wcale nie rozumie, dla tego tylko, że on je wypowiada z niezłomną stanowczością. Taka hypnotyzacya odbywa się dziś na wielką skalę pod rozmaitemi postaciami, a nie zamyka jej w żadnych kresach ani logika, ani elementarna wiedza, ani żadna siła regulująca wiedzę ludzką. Gdyby jakiś figlarz lub obłąkaniec zechciał głosić, że światło powstaje z gwałtownego tarcia się cząstek pary w szybkim locie chmur, albo że najwyższa poezya polega na bezmyślnem naśladowaniu głosów natury, znalazłby wyznawców i naśladowców. Dziś np. opisujemy deszcz — niechże symbolista każe go nam tak wyrażać:

Tru-tu-tu-tu-grom!
Szuuuu-plu-plu-huuu...
Kap-kap-kap
Chlap-chlap.

niech nie zrazi się kpinami i dalej stosuje swój wynalazek, niezawodnie jedni zachwycą się nim, inni przyznają mu oryginalność a wreszcie krytyka orzecze, że pomimo dziwactwa pomysłu trzeba się liczyć z tym nowym objawem twórczości poetyckiej. Zaledwie dziesięciu na milion będzie miało odwagę powiedzieć głośno, że jest to wierutne głupstwo.

Z tej hypnotyzacyi korzystają zawsze a zwłaszcza w epoce ubogiej pod względem wielkich idei i wielkich ludzi rozmaici poszukiwacze pereł oryginalności w... piasku. Poeta z małym talencikiem i pustą głową, który nie umie stworzyć nic genialnego, a chce być sławnym, póty smaży swój mózg, aż on mu zaskwierczy i zaswędzi jakąś ekscentryczną. Zamiast przelecieć nago w dzień przez najbardziej uczęszczaną ulicę, co by groziło kozą, albo przejechać się na osiodłanym strusiu, co by zapewniło rozgłos krótkotrwały, woli on pisać wiersze cudaczne i dowodzić, że w nich jęczą „bóle cierpiącej ludzkości.“

Filistrzy nie lubią wielkich przedmiotów, ale lubią małe zmiany. Ci panowie tegoczesnego świata wołają na rzeszę, obsługującą ich w literaturze, sztuce, technice: dajcie coś nowego, to nam już się znudziło. Więc zasiada biedny dostawca powieści, komedyj lub obrazów i rozmyśla nad czemś oryginalnem. Co by to wynaleźć, czego jeszcze nie było? Żona zdradza męża — na to już Menelaus się skarżył; mąż zdradza żonę — to także stara bajka. A gdyby oboje się zdradzali? I to nie nowe. Ona kocha furmana? Zużytkowano. Pincera? Było. A gdyby... *Eureka*! Męża zbałamucił i wykradł przyjaciel, a żonę — przyjaciółka. I jest temat oryginalny — do powieści, noweli, komedyi.

Inny szuka świeżej filozofii życia. Ludzie są uczciwi i rozumni — stęchły optymizm. Ludzie są głupi i podli — skwaśniały pesymizm. Ludzie są ani źli, ani dobrzy — jałowy eklektyzm. Trzeba wymyślić coś niebywałego. A, mam! Ludzie są z natury trawożerni, gdyż najbardziej zachwycają się tą porą roku, kiedy trawa wschodzi. I oto oryginalny pogląd na istotę człowieka.

Inny medytuje nad wynalezieniem odmiennego sposobu malowania. Akademiczność przeżyła się, rembrandtyzm spowszedniał, wogóle naśladowanie wielkich mistrzów nie daje sławy. Należy sprobować czegoś całkiem nieznanego. Impresyonizm! Las jest zielony, niwa dojrzałego zboża płowa, piasek żółty, gęś biała lub szara, bławatek niebieski, ale bywają w naturze takie chwile szczególnego oświetlenia, że wszystko powleka się barwą fioletową, czerwoną, pomarańczową itd. Zacznijmy

więc malować „momenty“—w których las, piasek, niwa, gęś będą fioletowe lub czerwone. I oto powstała nowa „szkoła.“ A nie dotarła ona jeszcze bynajmniej do kresu oryginalności w tym kierunku: bo jeżeli spektroskop rozkłada światło słońca na pojedyncze barwy widma, dlaczegożbyśmy nie mieli przedstawiać „momentów“ pręgowanych, które również widzieć można zapomocą tego przyrządu? Więc poczekajmy, a może wkrótce zobaczymy na wystawach obrazów psy żółto-fiIetowo-czerwononiebieskie.

Powróćmy do uwag ogólnych. Trudno zaprzeczyć, że symbolizm, impresyonizm, niezwyczajne tematy powieściopisarskie lub sceniczne stanowią przedłużenie szeregu nowości, ale nowości, których wartość artystyczna lub rozumowa jest bardzo mała lub prawie żadna. Dusza ludzka, wydając na świat twory wielkie, nieśmiertelne, nie dla tego je rodzi, że są oryginalne, ale dla tego, że została nimi zapłodniona. Ich oryginalność nie tkwi w pierwotnym zawiązku, lecz w późniejszym porównaniu z innymi. Czy Dante, Michał Anioł, Shakespeare, Goethe, Kant, Mickiewicz stwarzali swoje dzieła dla dogodzenia potrzebie nowości? Bynajmniej. Tymczasem dzisiejsi synkowie muz do tego tylko dążą. Wyobraźmy sobie, że ktoś, widząc świat przesycony idealizmem, materyalizmem, postanowił wysnuć świeży system filozoficzny i oparł go na zmyśle dotykania z następującem uzasadnieniem i Wszystko, co wiemy, nabywamy za pośrednictwem zmysłów. Jest ich pięć, ale wszystkie dadzą się sprowadzić do jednego. Bo przecie słyszymy wtedy, gdy fale dźwięku dotkną naszych uszu, widzimy — gdy światło dotknie naszych oczu, czujemy woń — gdy jej cząsteczki lotne dotkną naszego nosa, smak— gdy pokarm dotknie naszego podniebienia. A zatem dotyk jest źródłem naszego poznania. Szkic ten można wypełnić myślami szczegółowemi — i nowy system gotów. W filozofii, ważącej pomysły krytycznym rozumem, takie oryginalne koncepty zdarzają się rzadziej i nie utrzymują się długo, chociaż i ona czasem je miewa; natomiast w sferze sztuki, podlegającej prawom uczucia, oryginalne głupstwo buja nieraz długo i budzi zachwyt. Przypomnę tylko słynną teoryę wibryonów Dumasa, jego trójkąt miłosny, zabijanie niewiernych żon itd. Jeżeli wejdziecie do salonu Towarzystwa sztuk pięknych, spostrzeżecie tam gromadkę osób przed wspaniałym portretem Matejki, z których połowa nie zwróciłaby na ten obraz uwagi, gdyby nie naganka prasy i urok imienia artysty. Większa zaś ilość spojrzeń zwraca się ku „momentom“ fioletowym, żółtym, czerwonym, które wiszą w sąsiedztwie. Matejko bowiem pomimo swego geniuszu jest już dawno znany, a owe „momenty“ przedstawiają oryginalność.

Taka jest doba dzisiejsza. W siłach słaba, w umysłach harda lub zwyrodniała objawia zarazem nienasysoną żądzę oryginalności, a ponieważ nie może się zdobyć na wielką, wspaniałą, genialną, fabrykuje coraz nowe sztuczki, któremi bawi się przez czas jakiś i odrzuca jako bezużyteczne cacka. W tej pogoni za czemś, czego jeszcze nie było, wpada ona nieraz na rozdroża logiki, zdrowego rozsądku i smaku, wytwarza jaskrawą i krzykliwą mizeryę, która mizdrzy się, wrzeszczy, skacze do oczu, ażeby sobie nadać sztuczną moc i urok. Prostaczkowie obnażają kornie i pochylają głowy przed każdą procesyą nowego fetysza, wierząc, że w nim bóstwo się narodziło; ale gdy takich pochodów ujrzą zbyt wiele, ostatecznie nie wiedzą, które z tych bóstw jest prawdziwe i kiedy obejmie rządy. A tymczasem one ciągle wymierają, nie zapanowawszy nad umysłami.

Odpowiedziałem tu obszernie jednemu z czytelników *Prawdy* w tem przekonaniu, że podniesione przez niego kwestye zajmują wielu innych, zdurzonych krzykiem najrozmaitszych *izmów*, które na jarmarkach Europy zachwalają i sprzedają swoje chorągiewki.

Poseł Prawdy.

SPRAWY EKONOMICZNE

ZARYS USTAWY KAS ROBOTNICZYCH.

Ujęcie najpotężniejszej dziś u nas gałęzi produkcyi, jaką jest wielki przemysł, w karby opieki państwowej, tj. okiełznanie samowoli organizatorów tej produkcyi, posunęło się w ostatnich kilku latach znacznie naprzód. Bodźcem znaglającym były tu zresztą potrzeby chwili. Naprzód częściowo — na pracę kobiet i dzieci — potem w całej rozciągłości (przepisy o najmie) zastosowano do Królestwa prawo fabryczne. Później wzmocniono i rozszerzono organy inspektoratu, uzupełniwszy go naczelną instytucyą o charakterze prawodawczym (komisyą fabryczną), następnie w roku zeszłym pod postacią t. zw. książeczek najemniczych przekształcono regulaminy fabryczne w duchu ścisłego porządku. Ostatniem ogniwem łańcucha szerokiej interwencyi państwa w sprawach przemysłowych jest zatwierdzony d. 28 lutego przez warszawską komisyę projekt „normalnej ustawy kas oszczędnościowo-zapomogowych dla robotników fabrycznych.“ Opis *Warsz. Dziennika* pozwala nam już zawczasu poznać je przynajmniej w głównych zarysach.

Kasy znajdować się mają w ręku pryncypałów, lecz pod okiem inspekcyi fabrycznej, której wola rozciągnie się na wiele najważniejszych czynności tych kas. Ona rozstrzygać ma o skali zapomóg udzielanych robotnikom w razie pożaru, powodzi itp. nieszczęśliwych wypadków, ona corocznie sprawdza stan kasy na zasadzie przedstawionego jej sprawozdania, od jej uznania zależy liczba uczestników kasy, do niej mają się zwrócić równie robotnicy jak i fabrykanci po wyjaśnienia w razie nieporozumień wynikających ze spraw kasy. Właściciel fabryki jest osobą odpowiedzialną za całość funduszów kasy. Robotnikom zaś służy prawo żądania co miesiąc od przedsiębiorcy sprawdzenia robionych im potrąceń, nadto kantor fabryki obowiązany będzie dla wiadomości robotników dwa razy na rok wywieszać wykazy o stanie funduszu zbieranego na zapomogi.

Najważniejszą wszakże w tego rodzaju instytucyach rzeczą jest ich cel, źródło ich zasobów oraz zasobów tych rozdział. Celem jest: udzielanie robotnikom i ich rodzinom wsparć bezzwrotnych i przyjmowanie oszczędności najemniczych. Każdy robotnik, posiadający książeczkę obrachunkową, staje się przymusowym uczestnikiem kasy od chwili wstąpienia do fabryki i, co za tem idzie, od daty doręczenia mu owej książeczki. A źródło, z którego sączyć się mają krople, osładzające niepewność jutra najemnika, rzuconego na kapryśną falę produkcyi? Źródłem tem będą potrącenia na rzecz kasy, dokonywane przez kantor fabryczny z zarobku najemnika przy każdej jego wypłacie. Potrącenie 1% od przypadającej mu należności stworzy fundusz na zapomogi bezzwrotne; potrącenie zaś 3% pójdzie na oszczędność jego, którą on będzie mógł odebrać w całości natychmiast po uwolnieniu z fabryki, jeżeli ono nastąpi nie na własne żądanie, a we dwa miesiące po uwolnieniu, jeżeli ono otrzymane zostanie na własne żądanie. W tym ostatnim wypadku, w razie na szczególną uwagę zasługujących okoliczności, niezwłoczne wydanie oszczędności orzeka inspekcya fabryczna. Prawo zaś do zapomóg bezzwrotnych robotnik utraca z dniem uwolnienia go z fabryki bez względu na powód, chyba że będzie uczestnikiem kasy od lat pięciu lub więcej — w takim razie ma prawo do wsparć przez dwa miesiące od chwili uwolnienia. Potrącenia na rzecz kasy obliczają się z całkowitych rubli, przyczem pół i więcej niż pół rubla uważa się za całość. Zapomogowe jak i oszczędnościowe—wpisują się oddzielnie do książeczki obrachunkowej; po roku potrącenie na oszczędność wnosi się w ryczałtowej całorocznej sumie do oddzielnej (wydanej robotnikom) książeczki.

Jednoprocentowe odcinki z dołączeniem funduszu z kar i dobrowolnych (!) wkładów właściciela fabryki tworzą zasób, z którego uczestnicy kasy, za okazaniem świadectwa lekarza fabrycznego lub policyi, mogą otrzymywać wsparcia, a mianowicie: w razie choroby — przyczem zapomoga nie może przekraczać połowy zarobku ustalonego za dwa ostatnie miesiące i trwać dłużej nad trzy miesiące. Robotnice w razie brzemienności otrzymują zapomogę w tym samym stosunku przez dwa tygodnie przed i dwa po połogu. W razie pożaru, powodzi itp.; w razie śmierci żony, męża lub dziecka (względnie po 15 i 10 rs. na pogrzeb), W razie śmierci samego robotnika bezdzietnej jego wdowie kasa zapomogowa wypłacać ma 20 rs., a dzietnej — 25 rs. W tym samym stosunku dostaje wsparcie rodzina zmarłej uczestniczki kasy. Po zwiększeniu się funduszu zapomogowego, uczestnicy kasy będą mogli otrzymywać zasiłki (w kwocie 10 rs.) w razie choroby kogokolwiek z członków rodziny. Zapomogi wcale nie będą udzielane przy chorobie, nietrwającej dłużej nad trzy dni.

Fundusze zapomogowe znajdować się mogą w ręku fabrykanta (w kantorze) w ilości odpowiadającej liczbie uczestników kasy, a wynoszącej 100 do 500 rs. Kapitał wyższy wnosi się do kasy oszczędności Banku państwa, skąd może być podniesiony tylko za decyzyą inspekcyi. To samo stosuje się i do oszczędności robotników. Robotnik, podnoszący po uwolnieniu z fabryki wszystkie swoje oszczędności, odbiera także i procent od nich, obliczony według zasad kas oszczędności Banku państwa. Bardzo cenny jest dla przedsiębiorcy paragraf, który mu pozwala zatrzymać z oszczędności robotnika pieniądze zaliczone temu ostatniemu lub wypożyczone. W wypadkach szczególnie ważnych, lecz tylko za pozwoleniem inspekcyi, robotnik może odebrać połowę lub więcej swoich oszczędności, nawet wtedy, gdy nie opuszcza fabryki.

Kasy robotnicze obowiązani są zakładać u siebie wszyscy przedsiębiorcy, zatrudniający niemniej nad 30 robotników, właściciele zaś zakładów przemysłowych, zatrudniający mniej, niż 30 robotników, nie są obowiązani do otwierania kas, lecz byłoby pożądanem i chwalebnem z ich strony, gdyby je także organizowali u siebie. Każdy najemnik, przez sam fakt zaopatrzenia się w książeczkę obrachunkową, przymusowo staje się członkiem kasy, ale robotnicy nieobowiązani mieć książeczek — a takimi są fabryczni stróże nocni, woźnice, odźwierni itp. — jeżeli zapragną należeć do kasy, otrzymają taką książeczkę.

Takie są główne zarysy ustawy kas najemniczo-fabrycznych. Wycieniowanie ich zgodne w najdrobniejszych szczegółach z wymaganiami patronów należeć będzie do sfer interesowanych, bo projekt ustawy komisya postanowiła rozesłać przedstawicielom przemysłu, zwłaszcza zaś tym, którzy już mają u siebie jakiekolwiek kasy, a to w tym celu, aby poczynili swoje uwagi. Jeżeli poprawki komisya uzna za potrzebne, to dopiero wtenczas projekt oddany będzie uchwale ministra skarbu.

Z. A. P.

PRZEMYSŁ, HANDEL I FINANSE.

Obrady. Sprawa taniego kredytu dla ziemian była i tym razem przedmiotem narad w sekcyi rolnej: Memoryał p. Józefa Jeziorańskiego (przeznaczony dla komisyi petersburskiej, zajmującej się reformą Banku państwa) zaznacza w czterech głównych punktach potrzeby rolnictwa: przedewszystkiem żąda kredytu wekslowego hypotecznego z jednym podpisem do wysokości 70% szacunku z r. 1875, przyjętego przez Towarzystwo kredytowe ziemskie; dalej: kredytu wekslowego niehypotecznego z dwoma podpisami do wysokości oznaczonej przez komitet dyskontowy — kredytu pod zastaw produktów zbożowych i innych nieulegających zepsuciu przy złożeniu ich w magazynach Banku państwa. Wreszcie — kredytu na machiny rolnicze, udzielanego na zasadach przyjętych dawniej przez b. Bank Polski. Wobec takiego rozszerzenia skali operacyi, niezbędna byłaby większa liczba filii bankowych i ich magazynów. Komisya petersburska w wysnuwaniu projektu posunęła się o wiele dalej niż p. Jeziorański, gdyż podała wniosek udzielania pożyczek nawet na zastaw zboża, przechowywanego we własnych spichrzach rolników. Zamiarem interesowanych jest wyjednanie takiej samej ulgi dla ziemian Królestwa Polskiego. Dr. Mizerski w swoim odczycie poruszył bardzo ważną dla rolników sprawę hodowli sztucznych drożdży. Wartość piwa zniża tworzenie się mętów, zły smak i zapach, co właśnie wynika ze złych drożdży; otóż czystość w nich jest najważniejszym warunkiem, zapewniającym dobroć piwa. Za granicą zwrócono już na to baczną uwagę. Rozwinięcie przez prelegenta teoryi wytwarzania dobrych drożdży zrodziło w słuchaczach myśl otworzenia „stacyi“ i założenia towarzystwa, któreby się zajęło sprawą hodowli dobrych drożdży. P. Choniewski mówił o chemicznym składzie roli. Wreszcie p. Milicer zwrócił uwagę na przedmiot nie mający pozornie związku z rolnictwem, tj.: żużle Martina w odpadkach fabryk krajowych żelaznych. Wielkie zasoby szlaki dotąd lekceważone, mogłyby się przydać rolnikom; jest to bowiem wyborny nawóz fozforytyczny, dotychczas wrzucany przez wiele fabryk do wody lub służący do wyrównywania dołów i rowów. W ten sposób zmarnowano olbrzymie zasoby szlaki z b. fabryki stali na Pradze.

Pożyczka. Ogłoszono Najwyższy Ukaz Imienny o wypuszczeniu $4\frac{1}{2}$% pożyczki wewnętrznej 1893 r. na 100 milionów rubli kredytowych. Obligacye wydane będą na sumę: 100, 500, 1,000, 5,000 i 10,000 rs. Bieg procentów liczony będzie od 13 marca r. b. Losowania dokonywane będą corocznie w d. 13 grudnia i 13 czerwca, zaczynając od 13 grudnia r. b. Ministeryum skarbu poruczyło Bankowi państwa uskutecznienie realizacyi pożyczki w Petersburgu tudzież w oddziałach prowincyonalnych.

Bank hr. Branickiej. Instytucya ta w Białejcerkwi, ciesząca się wielkiem powodzeniem, oddaje ogromne usługi ludności okolicznej. Obecnie czyni ona starania u ministeryum skarbu o wprowadzenie operacyi kredytu długoterminowego, tymczasowo na lat cztery. Podanie jest uzasadnione samą naturą przedmiotów, na których zastaw włościanie biorą pożyczki. Są to przeważnie rzeczy, wchodzące w skład kapitału rolnego (narzędzia, budynki itd.), pożyczki zaś nie zawsze mogą być zwrócone w całości, nawet w razie pomyślnego urodzaju. Z tego powodu *Now. Wr.* pisze: „Zwracamy uwagę na to podanie skromnego banku wiejskiego, jako na objaw budzącego się nawet śród włościan przekonania, że istniejące obecnie instytucye kredytu krótkoterminowego nie czynią zupełnie zadość potrzebom życia ziemiańskiego. Stowarzyszenia pożyczkowo-wkładowe, te prawie jedyne instytucye kredytowe wiejskie, cierpią stanowczo na krótkoterminowość wydawanych pożyczek (najwyżej na rok). Włościanin, który pożyczył 100 lub 200 rs. na wybudowanie chaty dla ożenionego syna lub brata, nie może oczywiście zwrócić pożyczki za rok, trzeba więc ciągle odnawiać weksel. Tym sposobem kredyt na pozór bardzo tani (15—20%) w porównaniu z lichwiarskim, stuje się w końcu drogim, dłużnik bowiem obowiązuje się płacić za samą tylko postawioną chałą 12—30% rocznie. Z tego przykładu widać, że nie chodzi tu tylko o długoterminowość; koniecznem jest, ażeby i sam procent od takich pożyczek był znacznie niższy, aniżeli od krótkoterminowych.“ *Now. Wr.* uważa za rzecz pożądaną, aby inne stowarzyszenia pożyczkowo-wkładowe poszły za przykładem banku białocerkiewskiego i postarały się u władzy wyższej o odpowiednie zmiany i rozszerzenia ustaw, które dziś nie odpowiadają potrzebom istotnym.

Ruch przemysłowy. Według danych urzędowych za rok zeszły w powiecie łódzkim znajdowało się ogółem 100 większych zakładów przemysłowych i 3 080 rozmaitych rękodzielni Wszystkie te zakłady zatrudniały 9,864 ludzi, w tej liczbie 197 obcokrajowców. Wartość produkcyi przemysłowej wo wiatu wynosi 10,994,493 rs. W ciągu roku zeszłego założono w powiecie 9 nowych fabryk. Z tej liczby przypada na Zgierz 7, tj. 5 ręcznych tkalni towarów wełnianych, jedna tkalnia kamgarnów i — krochmalnia. W kolonii Żabieniec powstała farbiernia i wykończalnia, we wsi Ruda Pabijanicka— także farbiernia. Zwinięto w ciągu r. z. 8 zakładów przemysłowych (7 tkalni towarów wełnianych w Zgierzu, które posiadały ogółem 232 warsztaty, oraz wykończalnię i farbiernię w Konstantynowie). Towarzystwo akcyjne Heinzla i Kunitzera w Widzewie pod Łodzią założyło świeżo filię swego zakładu w Petersburgu dla sprzedaży detalicznej własnych wyrobów bawełnianych. To samo Towarzystwo podniosło w tych dniach cenę o 1 kop na arszynie wszystkich gatunków barchanu i tkanin bawełnianych (płótna polskiego, szlązkiego, bułgarskiego i tyrolskiego).

— Dla ukrócenia falszerstwa herbaty i podrabiania etyklet, pozwolono składom pakować herbatę w paczki, opatrzone banderolą akcyzową, w obecności urzędników za niewielką opłatą na rzecz skarbu. Ilość takich składów stale się powiększa; obecnie całe państwo posiada: na głównym rynku w Moskwie 27, w Petersburgu i Odesie po 4, w innych miastach 8 i w Warszawie skład jeden. Chiny wysłały do Rosyi w 1870 r. 1,138,000 pudów herbaty, r. 1891 — 1,046,000 i w r. 1892 im 1,120,000; z tej liczby w r. z. zapakowano pod banderolą 7,06,000 pudów, czyli 63%.

— W tych dniach rozpoczęły się obrady zjazdu górników w Warszawie. Ponieważ nie są jeszcze ukończone, więc sprawozdanie o nich odkładamy do przyszłego numeru.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Ordynat M. Zamoyski przywrócił „gracye“, których wypłatę wstrzymał opiekun w czasie jego małoletności, obecnie zaś dla swoich urzędników i oficyalistów ma utworzyć kasę przezorności według następujących zasad: Każdy oficyalista, wstępujący do ordynacyi, składa z pobieranej pensyi 10% corocznie do kasy, ordynat zaś dodaje ze swojej strony drugie 10%. Po upływie 15-tu lat nieskazitelnej pracy wolno jest podnieść całkowity swój kapitał, do którego ordynat dodaje 15%; po dwudziestu latach służby — 25%, po latach zaś trzydziestu — 50% podnoszonej sumy (*Gaz. rolnicza*).

— *Now. wremia* podaje nowe szczegóły o markach oszczędnościowych, które mają być wprowadzone wraz z projektowanem rozszerzeniem czynności Banku państwa. Wszelkie formalności przy nabywaniu marek będą ograniczone do minimum, żeby najuboższa nawet ludność, pragnąca zaoszczędzić 5 lub 10 kop. korzystać z nich mogła. Marki i kartki mają być sprzedawane we wszystkich biurach pocztowych i kasach rządowych. Kartki podzielone będą na 12 rubryk, odpowiadających miesięcznym oszczędnościom. Tam się przykleja nabyte marki, póki się nie zapełni całej kartki; po oderwaniu zaś od niej numeru, który pozostaje jako kwit, wrzuca się ją do skrzynki pocztowej. Wyjęte stamtąd będą oddawane do miejscowych instytucyi kredytowych, gdzie zapisywane początkowo według numerów, będą wymieniane na książeczki imienne.

— W Kremienczugu powstało towarzystwo zwolenników polowania.

— *Farmacew. żurn.* zwraca uwagę na niestaranną korektę świeżo ogłoszonej taksy aptekarskiej, gdzie w różnych miejscach wykazano niezgodne z przepisami ceny niektórych środków lekarskich.

— Ministeryum spraw wewn. poleciło opracować projekt ustawy, określającej kontrolę rządu nad wszystkimi zakładami dobroczynnymi w całem państwie. (*Peterb. wied.*).

— Komisya, zajmująca się sprawą ustanowienia kontroli państwowej nad czynnościami towarzystw ubezpieczeń, opracowała projekt utworzenia przy departamencie gospodarczym ministeryum spraw wewnętrznych specyalnego wydziału asekuracyjnego. Komitet będzie miał prawo poruszać samodzielnie sprawy likwidacyi wspomnianych towarzystw.

— Według *Peterb. wied.* wielu żydów, wydalonych obecnie z miast w Cesarstwie, udaje się do Królestwa Polskiego, a szczególnie do Łodzi.

— Kasa dla pracowników instytucyi rządowych w Maryampolu rozpoczęła swoją działalność.

Szkoły. W guberniach Nadbałtyckich powstaną nowe seminarya celem wytworzenia nauczycieli ludowych, posiadających dokładnie język ruski.

— Ministeryum oświaty postanowiło otworzyć szereg nowych szkół rzemieślniczych w różnych miejscowościach państwa (*Graždanin*).

— Rada państwa zatwierdziła wniosek ministra oświaty, dotyczący utworzenia w ministeryum osobnej sekcyi do zarządu szkołami technicznemi i zawodowemi. Kierownikiem tego oddziału ma zostać p. Arapow, obecnie członek rady ministrów, a poprzednio dyrektor wyższej szkoły rzemieślniczej w Łodzi (*Now. wr.*).

— P. oberpolicmajster m. Warszawy, porozumiał się ze zwierzchnością uniwersytetu i instytutu weterynaryjnego co do składania paszportów; wystarczać będzie przy meldowaniu się przedstawienie matrykuły.

Sprawy kolejowe. Z polecenia departamentu kolejowego służba konduktorska zobowiązaną została do obeznania się z doraźnym sposobem niesienia pomocy podróżnym, którzy zasłabli w pociągu. Ze znajomości tego przedmiotu będą konduktorzy składać egzamin przed naczelnikami ruchu.

— Ministeryum komunikacyi rozpatruje projekt utworzenia posad naczelników pociągów z odpowiedniem technicznem wykształceniem. Mają oni przedstawiać zwierzchnią władzę nad całą służbą pociągową. (*Swiet*).

— Z nadejściem wiosny ma być przeprowadzona budowa drugiego toru kolejowego od Brześcia do Białegostoku. W roku bieżącym będzie także przeprowadzony drugi tor kolejowy z Białegostoku do Odesy na przestrzeni 1,045 wiorst. W roku przyszłym rozpocznie się budowa drugiego toru od Zdołbunowa do Radziwiłłowa.

— Dnia 4-go b. m. odbyło się w Petersburgu pierwsze ogólne zebranie akcyonaryuszów Towarzystwa kolei pomocniczych, na którem uchwalono przystąpić do budowy dróg dojazdowych w gub. wileńskiej i grodzieńskiej.

Dobroczynność. W Warszawie przy ul. Smolnej otwarto przytułek noclegowy na 150 osób.

— Komitet obywatelski, zawiązany w Warszawie z powodu cholery, przygotował *bony* w książeczkach po 100 sztuk za rs. 4 kop. 60, które mogą być przez osoby dobroczynne nabywane w kancelaryi komitetu (Włodzimierska 17), dla rozdawania ubogim zamiast jałmużny.

Zdrowie publiczne. Z rozporządzenia ministra spraw wewnętrznych zalecono wszystkim gubernatorom zajęcie się dozorem nad dokładnem oczyszczaniem wszystkich miast i wsi w państwie. Główna uwaga ma być zwrócona na Astrachań, Baku i inne miasta, które były siedliskiem chorób zakaźnych.

— Stwierdzono, iż niektóre bufety i kuchnie na stacyach kolei Nadwiślańskiej nie są utrzymywane w należytej czystości i porządku; zarząd więc ze względu na spodziewaną epidemię, wydał rozporządzenie, ażeby lekarze oddziałowi i rewizorowie ruchu dokonywali niespodziewanych rewizyj bufetów i kuchni, tudzież sprawdzali świeżość produktów. Oprócz tego rewizya taka będzie dokonywaną peryodycznie co dwa tygodnie.

— W zakładzie wodoleczniczym w Czarnieckiej Górze pod Niekłanem będzie utworzony pensyonat lecz-

niczy dla chorej młodzieży przeważnie szkolnej. Leczenie dyetyczne i kąpiele z wody mineralnej.

— Dla powiatu łódzkiego utworzono oddział sanitarny na 150 osób płci obojga, po kilka z każdej gminy. Ażeby zapoznać je ze sposobami dezinfekcyi lokalów, podawaniem pierwszej pomocy chorym i pielęgnowaniem ich, rozpoczęto odpowiednie wykłady w szpitalu Towarzystwa akcyjnego Izr. K. Poznańskiego, które trwać będą do świąt wielkanocnych.

— Władza lekarsko - policyjna przystąpiła do rewizyj fabryk i warsztatów, zatrudniających większą liczbę pracowników, dla zbadania stanu apteczek przeciw epidemicznych. Nakazano właścicielom zaopatrzyć się niezwłocznie w przepisane środki lekarskie.

— Powstał projekt utworzenia rady opiekuńczej w Końskich dla niesienia pomocy ubogiej ludności żydowskiej, dotkniętej chorobami. Miasto rozdzielono na pięć rewirów i utworzono odpowiedni komitet. Fundusze rady mają powstać z ofiar członków, oraz ze składek.

Odczyty. Szereg prelekcyi na dochód osad rolnych rozpoczął p. Ochorowicz na temat: „Z tajemnic kapłanów egipskich.“ Ponieważ prelegent rozłożył ten przedmiot aż na cztery odczyty, więc obszerniej o nim pomówimy w przyszłym numerze.

Odpowiedzi Redakcyi.

Niepewnemu. O tych antagonizmach czytelnicy nasi dawno wiedzą.

P. S. W. w Krakowie. Nie.

Panu A. N. Naprzód mała, ale konieczna poprawka, gdyż powiedziano: *popełniamy* (a nie p. J. popełnia) dwa błędy. Powtóre, nie nasza wina, że pisma tak fałszywie streściły pogadankę; najchętniej więc prostujemy, że p. Jankowski kobiety klas niższych uznał za uzdolnione do ogrodownictwa, a paniom je zalecił z obietnicą wzmocnienia sił fizycznych.

C. G. Nadesłane wiersze mają myśli dobre, formę poprawną, ale nie odbijają jeszcze znamion talentu. I doprawdy trudno, ażeby on się już objawił, zanim autorka skończyła lat 18. Pytanie więc jest przedwczesne.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 5 Марта 1893 г. Druk K. Kowalewskiego, ul. Królewska Nr. 29.